Nr. 41. Warszawa, dnia 8 Października (26 Września) 1892 r. **Rok XII**

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BAJDY KĄDZIELOWE.

Jak corocznie o tej porze i przy podobnej sposobności hr. Kalnoky otworzył usta, zamknięte przez rok cały pieczęcią dyplomatycznego milczenia i wypuścił z nich skrzydlate, oblatujące natychmiast całą Europę słowa o zewnętrznej polityce państwa. Nie wiemy, czy ministrowi austryackiemu przytrafi się obecnie to, co go spotkało już kilkakrotnie, mianowicie że co innego napisał cesarzowi w mowie tronowej, co innego powiedział w delegacyi przedlitawskiej, a co innego w delegacyach wspólnych. Wtedy bywał na jednej scenie bardzo wojowniczym, a na drugiej uspokajającym i wysysał własnemi ustami kleksy, które przez niezręczność robił w swych mowach. Ale teraz zdaje się nie będzie potrzebował wyskrobywać i „tuszować“ nieopatrznych wyrazów. Wyśpiewał bowiem swą pieśń doroczną bardzo łagodnie, bez żadnych zgrzytów i rozdźwięków, według melodyi dawno nabitej na walec w katarynce europejskiej. Wszakże znacie tę nutę „pokoju zbrojnego.“ Stosunki nasze — mówił hr. Kalnoky — ze wszystkiemi mocarstwami są dobre. W traktacie z Niemcami znajduje się tylko to, czego wymaga bezpieczeństwo Austryi. Układu z Włochami niepodobna ujawnić, gdyż na to nie pozwalają interesy obu państw. Względem Rosyi żywi rząd austryacki uczucia niezmiernie przyjazne. Zmiana ministeryum w Anglii nie budzi żadnych obaw, gdyż whigowie pójdą gościńcem wydeptanym przez torysów. Wprawdzie na wschodzie i zachodzie Europy odbywają się ciągle uzbrojenia w szerokich rozmiarach, lecz opinia publiczna przywykła już do tych objawów i upatruje w nich rękojmię pokoju. Wszystkie rządy zapewniły stanowczo, że nie zamyślają rozpoczynać wojny.

Pomijamy kwestyę stosunków—dobrych, przyjaznych, serdecznych, normalnych i innych, wyczerpujących całą litanię przymiotników, zauważymy tylko, iż hr. Kalnoky nie wierzy własnemu zapewnieniu, że „opinia publiczna widzi w uzbrojeniach rękojmię pokoju“ i że wszystkie rządy przyrzekły nie wypowiadać wojny. Przez wiele lat Bismark całą siłą swej sofistyki i wymowy daremnie usiłował przekonać świat, że równolegle ze wzrostem militaryzmu utrwalać się powinna wiara w pokój. Nikt do tej naiwności nie dał się skusić i nie da. Nawet zające i sarny, widząc myśliwych, ćwiczących się w strzelaniu i robiących naboje, nie wierzyłyby, że oni czynią to dla bezpieczeństwa zwierzyny; tem mniej można wymagać podobnego nierozumu od ludzi. Zresztą jeżeli traktaty Austryi z dwoma jej sojusznikami mają tak niewinny u raczej wspaniały cel, czemuż zachowywane są w tajemnicy? Frazesem również jest mniemane oświadczenie rządów, że nie wypowiedzą wojny. Z pewnością hr. Kalnoky o to ich nie pytał już z samego względu przyzwoitości dyplomatycznej, a gdyby nawet zapytał i otrzymał „zapewnienie“ nie miałoby ono żadnego znaczenia po za chwilą bieżącą. Wyobraź sobie, czytelniku, że jesteś francuskim ministrem spraw zagranicznych i że takiż minister austryacki pyta cię, czy Francya ma zamiar rozpocząć z kimkolwiek wojnę; naturalnie odpisałbyś mu, że Francya nie ma tego zamiaru w dniu wysłania odpowiedzi, że jednak nie możesz mu wystawić zobowiązania piśmiennego, gdyż naprzód nie wiesz, czy za tydzień będziesz ministrem i czy za miesiąc nie zajdą wypadki, zmuszające naród i rząd do działań orężnych. Toż samo odrzekłyby wszystkie inne gabinety, gdyby zostały w tej sprawie zagadnięte. Z czemże więc hr. Kalnoky wystąpił przed delegacyą? Z pustym frazesem, który nie posiada najmniejszej wagi.

Ze wszystkich rządów konstytucyjnych Europy najszerzej rozwodzi się o polityce międzynarodowej austryacki. Nie można mu tego brać za złe, ale można żądać, aby mniej rozsypywał pustych frazesów, które nikogo nie przekonywają i niczego nie wyświetlają. Są to ogromne wiązki słomy, które prasa daremnie młóci przez kilka tygdni i nie wydobywa z nich najmniejszego ziarna prawdy. Bismark również umiał ją taić i wprowadzać w błąd polityków, ale z jego mów śmiałych, często zuchwałych a zawsze obliczonych na pewne skutki, tryskały czasem promienie, rozjaśniające ten lub ów punkt stosunków międzynarodowych; tymczasem hr. Kalnoky, który nie posiada ani jego siły, ani jego odwagi, rzuca pełnemi garściami w oczy słuchaczów piasek frazeologii starej, zużytej, stęchłej, a mającej pretensyę do blasku pereł politycznych. Niedbały kaznodzieja częściej odświeża swoje kazania, niż on swoje mowy przed delegacyami, które powtarzają się z taką jednostajnością, że kto zapamiętał jedną, mógłby ministrowi austryackiemu przygotować wszystkie.

„Stosunki nasze ze wszystkiemi mocarstwami są przyjazne, trójprzymierze jest hamulcem zapędów wojennych, uzbrojenia stanowią rękojmię pokoju, wszyscy żywią najniewinniejsze zamiary, ale każdy powinien się mieć na baczności“ — oto rulonik liczmanów, wytartych, fałszywych i wzajem sobie przeczących. Czasem wyrwie się jakieś słówko alarmujące, ale natychmiast zostaje wycofane z obiegu. I czy nie byłob

daleko właściwiej i rozumniej ograniczyć się, jak w Anglii, do krótkich oświadczeń, zamiast powtarzać te długie bajdy pod kądzielą polityczną?

22-gi WRZEŚNIA W PARYŻU.

Na bezrybiu obecnej polityki francuskiej setna rocznica założenia Rzeczpospolitej jest faktem wybitnym, nie dla dekoracyj papierowych, które oprowadzano po ulicach, lecz jako potwierdzenie, iż ustrój obecny ostatecznie utrwalony został, a także jako wskazówka dróg i kierunków przyszłości. Pod tym względem charakterystyczne są mowy, wygłoszone w Panteonie przez Floqueta, Loubeta i Challemel-Lacoura. Przedstawmy je w streszczeniu.

Floquet przypomniał, iż 10 sierpnia 1792 r. lud wszedłszy do Tuileriów, zniszczył wewnątrz kraju zbrodnicze wspólnictwo z zagranicą. 20 września młoda armia pokazała, jak się odpiera najazd, zwycięztwem pod Valmy, a w dwa dni potem Konwencya ogłosiła Rzeczpospolitę, żeby zorganizować obronę narodową i założyć podstawy demokracyi. Tej drugiej części swego zadania pierwsza Rzeczpospolita nie wykonała i wykonać nie mogła, wprost dla braku czasu. Trudno czynić jej z tego zarzut, zwłaszcza że testament jej został nienaruszony: „społeczeństwo ma na celu szczęście powszechne.“ Tego było dość, żeby Rzeczpospolita została niezłomną nadzieją pracowników. „Trzeba nareszcie — kończył mówca — przystąpić do kwestyj społecznych, które po wszystkie czasy były troską gorącą republikanów i są obecnie przedmiotem powszechnego zainteresowania. Trzeba przystąpić do nich ze szczerością i pracować, aby nędza nie rosła obok bogactwa, które się powiększa. Trzeba przystąpić do nich z duchem sprawiedliwości i braterstwa...“

Prezydent rady ministrów, p. Loubet, rozpoczął swą mowę przypomnieniem, iż po wojnie francusko - pruskiej jedynie Rzeczpospolita wydawała się krajowi zdolną ocalić honor i zapobiedz klęskom, sprowadzonym przez błędy i przestępstwa drugiego Cesarstwa. Obmawiana, spotwarzana, napadana potrafiła dokonać swego zadania, pomimo niesłychanych trudności. Historya powie, iż w ciągu 22 lat umiała ona pomimo oporu jednych i napaści drugich wzmocnić siły narodowe, rozwinąć oświatę we wszystkich stopniach, poprawić finanse, przedsięwziąć olbrzymie roboty publiczne, zapewnić wszystkie swobody i ośmielić dobroczynność względem cierpiących. Ale dobroczynność ta jest nieznacznym tylko początkiem, trzeba bowiem nareszcie przystąpić poważnie do kwestyj społecznych. „I jakaż chwila — kończył p. Loubet — mogłaby być dogodniejsza dla podjęcia tego zadania? Opór partyj starych znika, Rzeczpospolita zdobywa coraz więcej stronników.“

Podejmując tę kwestyę „partyj starych“ Challemel-Lacour, wice-prezydent senatu, rzekł: „Co mogłoby powstrzymać tych ludzi, którym nie brak ani przenikliwości, ani patryotyzmu, od zerwania ze śmiercią i wstąpienia do życia? Nie powinni zniżać rozumu swego przed doktryną świeżą i prywatną, której datę urodzenia i ojców chrzestnych można byłoby wskazać; nie powinni składać broni przed stronnictwem, którem oddawna gardzili i które zawsze traktowali bez oszczędzań; nawet nie przed wolą narodu mają skapitulować, jakkolwiek podobna kapitulacya nie zawiera w sobie nic, coby mogło obrazić jej dumę— skłaniają się przed powagą długiego szeregu faktów, które noszą na sobie jakby pieczęć dekretu opatrznościowego.“ Nareszcie i ten mówca przyznaje konieczność przystąpienia do reform społecznych. „Oto nowy przewrót oświadcza się przez mnóstwo znaków; wielu uważa go nawet za już rozpoczęty i rozwijający się wokoło nas. Przewrót ten, w którym wola ludzka ma mniej jeszcze udziału, niż w każdym innym, jakkolwiek sprowadzony został przez odkrycia geniuszu i jest synem nauki, może i powinien zakończyć się spokojnie. Ale straszne niespodzianki mogą przebudzić tych, co przestraszeni pierwszemi trudnościami lub znużeni przedtem jeszcze, zanim przyłożyli rękę do pracy, zrobili sobie z obojętności ucieczkę i błogo zasnęli.“

Natrętną zwrotką powtarza się we wszystkich tych mowach żądanie „przystąpienia do reform,“ na czem jednak reformy te polegać mają, mówcy z Panteonu nie wyłożyli. Obowiązek ten wzięli na siebie inni przedstawiciele stronnictw. Ze strony oportunistów wystąpił dnia następnego Reinach, redaktor *République française*, mający wielki posłuch w partyi. Oświadczył, iż jest absolutnie wierny formule Gambetty: „niema kwestyi społecznej, są tylko oddzielne kwestye socyalne.“ I te trzeba jaknajprędzej rozstrzygnąć. Co można zrobić jeszcze podczas bieżącego okresu prawodawczego? Dla wsi potrzebne jest prawo, organizujące dobroczynność publiczną, a szczególnie medycynę bezpłatną. „Dla robotników zaś miejskich i wiejskich sądzę, że trzeba przyjąć prawo przedstawione przez Constansa o zapewnieniu spokojnej starości pracujących drogą emerytury.“ Nareszcie trzeba ustanowienia sądów polubownych dla rozstrzygania bezroboci. Taki jest program Reinacha i oportunistów; musimy przyznać, iż w ich ustach mowy te są wielkiem ustępstwem.

Nareszcie ze strony radykalistów przemawiał Millerand, który ze względów partyjnych nie mógł, rozumie się, wspomnieć o projekcie Constansa, wypowiedział natomiast cały szereg innych żądań, jak ośmiogodzinny dzień pracy, monopole państwowe kolei, kopalni itd. „Dlaczego — zapytywał mówca — reformy nie są wykonywane, gdy wszyscy ich się domagają? Pierwsza i najważniejsza przyczyna zawiera się w obecnej naszej organizacyi parlamentarnej. System dwu Izb, zdejmując z każdej część odpowiedzialności, pozostawia kraj w bezwiedzy, na kogo zwalić winę za powolność prac i zastój. Zarzucają deputowanym, iż uchylają prawa liberalne tylko dlatego, że są przekonani, że senat je odrzuci. Gdybyśmy posiadali jednę Izbę, zjawisko to nie mogłoby mieć miejsca.“

Mówili wybitni mężowie stanu i przedstawiciele stronnictw: wszyscy są zgodnie przekonani o konieczności przystąpienia do sprawy społecznej — może więc sfinks ten zacznie nam odsłaniać swą zagadkę we Francyi, przynajmniej częściowo. Jeżeli święto 22 września było przebudzeniem poczucia obowiązku we francuskich klasach panujących, to będzie ono miało dla ludu daleko zbawienniejsze skutki, niż oprowadzanie po ulicy dekoracyj papierowych — 5 rydwanów, przedstawiających sceny re-

---

20)

ARNE GARBORG.

ZNUŻONE DUSZE.

(Przekład z upoważnienia autora).

Po spokoju następuje długa, męcząca godzina zdenerwowania; leżę i przewracam się w przykrem, głupiem, ciepłem znudzeniu; kłócie, swędzenie po całej skórze, ból w głowie; rodzaj nerwowego żaru w członkach dokucza mi; nie mam sekundy spokoju, tarzam, rzucam się, jak w gorączce. Nagle słyszę z zewnątrz ptaszka, który coś mówi; nie otrzymuje odpowiedzi i powtarza to samo po raz drugi; mimo to odpowiedzi nie otrzymuje i milknie... Wóz, turkocząc, przejeżdża ulicą i po za rogiem znika; rozlegają się odgłosy kroków i znikają... Wyobrażenia moje posuwają się w dal, zaczynają zdwajać i zlewać się... Potem nic już sobie nie przypominam; ostatnim przedmiotem, który jeszcze widziałem, było coś białego, gdzieś... gdzieś — właśnie zagrzać się chciało... bezwątpienia... blednie. Cierpiący mózg uspokoił się.

...Ten przeklęty Kwaale nie chce mi dawać więcej chloralu!

XXIII.

I znowu ominięto mnie.

Przez całe życie siedzieć tu będę jako kopista, ukryty w moim kącie. Tak ukryty, że nawet Bóg o mnie zapomina.

Dlaczego? Zapewne jestem za mało gorliwy. Nie dosyć zajmuję się dobrą sprawą. Należę do letnich. A na letnich plują wszystkie stronnictwa. Omija ich minister prawicy, również jak i minister lewicy. Bo jasnem jest, że skoro człowiek okazuje się letnim, nie posiada silnej wiary w to, że właśnie my, my konserwatyści, względnie liberalni, że my właśnie jesteśmy zbawcami kraju; gdyby miał tę wiarę, przyłączyłby się do nas. „Letni“ jest wątpliwy. Idyoci węszą w nim szydercę, barany — wilka.

A powtóre byłem nie dość ostrożny w wyborze mego otoczenia. Wybrałem według własnego smaku, nie myślałem „o względach wyższych.“ Za czasów starego ministeryum byłem wątpliwym, ponieważ miałem „stosunki z lewicą“; teraz patrzą na mnie krzywo z powodu „stosunków“ wręcz przeciwnych. Nie dosyć, że obcuje się z baranami; żądają, aby *wyłącznie* obcować z baranami; jedna znajomość kogoś z obozu wilków już budzi niechęć w trzodzie baraniej. Nie jest pewny; nie możemy mu zaufać; kto wie, czy prawdziwą ma na sobie owczą skórę, czy pod nią nie czyha — wilk.

O, hołoto ludzka! Niby życie samo przez się nie dość jest smutne; czynimy, co możemy, byleby pomęczyć się wzajemnie jeszcze więcej. Jedyna możliwość ratunku — to odosobnienie się.

Lecz ten jedyny ratunek jest zarazem pewnym zanikiem.

Rzecz inna, gdyby tak mieć jakąś pracę, dokonać jakiegoś dzieła, przedsięwziąć coś rozsądnego. Czas najwyższy wziąć się do owej „powieści.“ Prawda, że trzebaby do tego wielkiej energii, jednak...

Na innej drodze z pewnością nic ze mnie nie będzie!

XXIV.

(W listopadzie 87).

(Po balu). Calutenkie dwa gorące zachwyty.

Doprawdy, dalibóg, że jedna była w samej rzeczy ładna. Blondynka, pełna, dziecinna, demoniczna — Małgosia. Druga — trochę w rodzaju subretki. Ciemnooka, żywa. Do jutra zapomnę o nich.

Daj im Boże dobre zamęście.

XXV.

Życie czyni człowieka strasznie nędznym. Wszystko staje mi się tak obojętne, że chyba z tego umrę.

Bo i do czegóż zresztą doprowadzić może życie takie, jakie wiodłem? Na samym początku grzechy młodości, zadające pierwszy cios i kładące podstawę do neurastenii. Następnie to brzydkie życie z mniej lub więcej popsutemi dziewczętami. Nadto alkohol i trucie się nikotyną...

Ostatecznie z całego człowieka zostaje kupka robaczywych kości, obleczona żółtą, obwisłą skórą. Doprawdy, dobry instynkt nie pozwolił mi się połączyć z Fanny.

Ach, jakąż słuszność mają moraliści, ostrzegający młode dziewczęta przed przeżytymi mężczyznami. Corocznie należałoby

wolucyjne — które pozostawiły go lodowato zimnym.

L. W.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Z powodu przyjęcia Stambułowa przez sułtana i wogóle z powodu stosunków Porty z rządem bułgarskim, rząd ruski przesłał notę do Konstantynopola, zwracającą uwagę na naruszenie traktatu berlińskiego. W tej sprawie pisze *Nowoje Wremia*:

„Sułtan Abdul Hamid i jego doradcy snać zrozumieli, że skoro Rosya uważała za stosowne przemówić tonem, niepodobnym zgoła do tonu poprzednich swych uwag, czynionych Porcie, jest to dowodem nastroju, który mógłby dla Porty otomańskiej poważne mieć następstwa. W odpowiedzi swej Porta wypiera się stanowczo tych intencyj, w których cała prasa europejska upatrywała klucz do jej sposobu postępowania z samozwańczym rządem sofijskim. Nota oświadcza wręcz, iż widzi jak dawniej w traktacie berlińskim podstawę istniejącego porządku politycznego i że wogóle rząd turecki nie miał nigdy zamiaru naruszenia traktatu berlińskiego lub obrażenia miłości własnej Rosyi. Wszystko to, dajmy na to, kłóci się z czynami, które wywołały poważne uwagi ze strony gabinetu petersburskiego, w takich jednak dokumentach, jak nota dyplomatyczna, rdzeń rzeczy stanowi jej ton, w danym zaś wypadku ton odpowiedzi wskazuje, iż uwagi ruskie wywarły wpływ należyty i zniewoliły rząd turecki do szybkiego zwrócenia się z drogi, na którą próbował wejść za podszeptem niektórych zachodnich kancelaryj dyplomatycznych. Rezultat ten nie podoba się oczywiście rusofobom zachodnim. Panowie ci w ostatnich latach zżyli się już z myślą, że w dziedzinie spraw bałkańskich cierpliwość Rosyi jest niewyczerpana, że przeto Porta może ściągnąć na siebie bez obawy „czysto formalne“ uwagi z Petersburga. Pokazuje się, że się omylili i że w Konstantynopolu uznano za rzecz niebezpieczną słuchać w dalszym ciągu ich rad i apostrof.“

Dowodem jałowości życia politycznego w chwili obecnej jest nadzwyczajne zajęcie się turniejem oficerów austryacko-niemieckich, którzy — jedni z Wiednia do Berlina, a drudzy z Berlina do Wiednia — wyruszyli na koniach dla wykazania swojej i swoich rumaków wytrwałości w przebyciu tej przestrzeni. Podobno pierwszą palmę zdobył austryak, który przejechał tę odległość w ciągu 71 godzin. W obu stolicach przybywający witani są z nadzwyczajnym zapałem, a telegraf roznosi ich nazwiska po całym świecie.

Obrady delegacyj austryacko - węgierskich wniosą nieco ożywienia w martwotę polityczną, która przeciąga się nadmiernie. Posłowie bowiem, obok spraw wewnętrznych, poruszają chętnie zewnętrzne. Już nawet deputat czeski, Eim, sprowadził małą burzę, zaatakowawszy rząd w tej dziedzinie.

Projekt wojskowy w Niemczech kryje się ciągle pod korcem i drażni opinię publiczną, niewiedzącą, jak głęboko sięgnie do kieszeni narodu. Jednocześnie intryguje swem wypracowaniem, czyli swoją „reformą“ minister skarbu Miquel, który ma stanąć przed sejmem z olbrzymią torbą i zażądać napełnienia jej nowymi podatkami. Wogóle jesienna sesya parlamentu niemieckiego kręcić się będzie około kieszeni, a z tego powodu podniesie temperaturę rozpraw bardzo wysoko.

Rząd angielski polecił wycofanie wojsk z Ugandy, co mu gazety opozycyjne poczytują za zbrodnię, gdyż, według nich, oddaje na łup francuzom „sferę posiadłości angielskich“ w Afryce.

BADANIA NAUKOWE.

KRONIKA PRZYRODNICZA.

Spostrzeżenia nad niewidomym od urodzenia, któremu wzrok przywrócono. — Percepcya barw. — Psychologia na wystawie w Chicago. — Wzruszenia i zakażenie. — Szczepienie ochronne cholery. — Szczepienie karbunkułu. — Fermentacya i metale. — Utlenianie w płucach. — Wstrzykiwanie lecznicze cieczy organicznych. — Działanie cieczy Brown Séquarda na wrażliwość nerwów. — Chemiczny skład tej cieczy.

Operacye katarakty na ślepych od urodzenia należą do rzadkich wypadków, a jeszcze rzadziej przypadają w takich warunkach, w których mogą stać się źródłem spostrzeżeń psychologicznych. Dzieci z kataraktą wrodzoną ulegają niebezpieczeństwu zupełnego zaniku siatkówki, wskutek nieużycia, jeśli pozostają przez dłuższy czas nieoperowane; cierpiałby na tem również ich rozwój umysłowy. Wszystko to pobudza lekarzy do wykonania operacyi możliwie wcześnie, a więc najczęściej w takim wieku, kiedy dziecko nie jest w stanie dać odpowiedzi na interesujące psychologów pytania. Tymczasem pierwsza znajomość ze światem widzialnym, dokonana w takim wieku, kiedy już człowiek może zdać sobie sprawę z wrażeń swoich, przyczynia się do wyjaśnienia wielu ciekawych zagadnień z zakresu psychologii i teoryi poznania, jakkolwiek sądzę, że znaczenie tych spostrzeżeń jest przeceniane przez empiryków. Najwięcej odwoływano się dotychczas w tym przedmiocie do spostrzeżeń, dokonanych nad 13-letnim chłopcem, operowanym przez Cheseldena (w r. 1728). Od tego czasu operacyi tej dokonano kilkanaście razy, nie zawsze jednak w warunkach przyjaznych dla spostrzeżeń.

Obecnie Grafé podaje rezultaty, otrzymane na 15-letnim chłopcu, któremu operacyę zrobił Bribosia. Na nieszczęście nie dokonano badania natychmiast, coby umożliwiło rozwiązanie niektórych zagadnień za pomocą doświadczeń, a w każdym razie dawałoby możność więcej ufać odpowiedziom pacyenta, lecz dopiero w dwa miesiące po zdjęciu opatrunku z oczu. Osłabia to wprawdzie w wielkim stopniu wartość otrzymanych wyników, nie pozbawia ich jednak całkowicie znaczenia, zwłaszcza że w niektórych ważnych punktach zaprzeczać się zdają dotychczas przyjętym faktom. Pytania zadane przez Grafégo dotyczą: 1) rozróżnienia barw, 2) percepcyi głębokości i wypukłości, wreszcie 3) percepcyi kształtów płaskich.

Jakkolwiek wrażliwy na silne światło pacyent, nie rozróżniał wcale barw przed operacyą. Z odpowiedzi, danych na zapytania, postawione w sposób zabezpieczający od możliwych błędów, wypada, że od pierwszej chwili operowany widział przedmioty tak samo, jak my, tj. rozróżniając wyraźnie wszystkie odcienie barw.

Co do drugiego punktu, odpowiedzi pa-

---

urządzić publiczny przegląd, na mocy którego wszyscy mężczyźni, mogący tylko popsuć rasę i żony swoje wprowadzić w histeryę, powinniby podledz śmierci i zakopaniu w dole wapiennym. Zresztą jest to zdanie d-ra Kwaale. Ja nie posiadam już myśli na cośkolwiek przydatnych; mózg mój jest zamarynowany.

* * *

(Sen optymisty). Dobrze rozwinięty gatunek małp rozrodził się na początku trzeciego okresu geologicznego w znacznych przestrzeniach Afryki, w końcu zaś znalazł tak szczęśliwy klimat i tak szczęśliwe warunki życiowe, że po ubiegu kilku stuleci wydał okaz małpy, posiadającej o jeden zwój więcej w mózgu; kiedy po upływie dziesięciu do dwunastu tysięcy lat zwój ten ustalił się i stał się cechą gatunkową, zrodził się buszman — pierwszy t. zw. człowiek.

Nowy zwój mózgowy sprawił, iż buszman był w stanie rzucać kamieniem itp., nadto buszmani wpadli na pomysł chronienia się przed słońcem i innym nieprzyjacielem za pomocą przebiegle urządzonych nor itp. Na mocy tej wyższości z biegiem czasu zapędzili swoich praojców napowrót w lasy, a sami zawładnęli terytoryami najlepszemi. Rozsiedli się po największych i najzdrowszych częściach Afryki i wreszcie znaleźli w górze nad morzem Śródziemnem warunki życiowe dla wyższego rozwoju mózgu tak korzystne, że po upływie dwudziestu tysięcy lat, wskutek dziwnie szczęśliwego składu okoliczności, w głowach ich powstał jeden dodatkowy zwój; i oto — zrodził się murzyn.

Ten wyższą inteligencyą swoją wyparł buszmana, zawładnął całą Afryką i zakradł się nawet do Azyi. Tu rasa ta znalazła tak szczęśliwe warunki, że w przeciągu paru tysiącoleci zyskała nowy zwój mózgowy i powstał — mongoł.

Ten nowy typ osiedlił się w Azyi i z biegiem czasu nowe wytworzył odmiany; najpóźniejszemi i najwyżej rozwiniętemi odmianami tego typu są semici i aryjczycy.

Ci ostatni zawitali do Europy i trafili na tak korzystne warunki, że posunęli się jeszcze dalej na drodze rozwoju. Po upływie kilku tysięcy lat wydali człowieka kulturalnego — greków i rzymian. Ta ostatnia odmiana po upływie trzech do czterech tysiącoleci, wskutek rozwoju i krzyżowania się z innemi odmianami i typami, wytworzyła — nowoczesnego europejczyka.

Europejczyk ma zamiar za pomocą swojej znacznie wyższej inteligencyi wyprzeć praojców i zawładnąć całą Europą. Natenczas stopniowo, za pomocą dalszego rozwoju, dalszego krzyżowania się z pokrewnemi rasami i pod wpływem coraz korzystniejszych warunków zewnętrznych, wytworzy się typ nowy, który o tyle wyżej stać będzie od nas, o ile wyżej my stoimy od buszmana.

Ta boska niemal rasa potrafi, czego my na naszem stanowisku buszmańskiem jeszcze nie umiemy: potrafi przeistoczyć ziemię w raj.

(Przypisek pesymisty). Ale wtedy zagaśnie — słońce.

XXVI.

(Niedziela, przed południem).

List z czarną obwódką: wuj Berent umarł.

„Nagle,“ „niespodzianie.“ I już go pochowano; wszystko poszło nader prędko.

Biedaczysko! Poczciwy, uczciwy, nie energiczny, lubiący używać życia — jak ja; młodość spędził na fanfaronadzie i zabawach — jak ja; dostał rozmiękczenia mózgu, leżał i wegetował przez długie lata — jak ja. A wreszcie umarł i pochowano go.

Widzę, że pospieszyli się z zakopaniem go w ziemi. Dlaczego?

W każdym razie nie został nikt, ktoby go kochał. Pozbyli się go — nareszcie. Stary szmat rozbitego okrętu. Taki wstrętny zwierz, jak zmurszały stary kawaler.

Biedaczysko!

Kiedym był młody, wszyscy twierdzili, że jestem doń podobny. Naturalnie podobny doń jestem. Czyż nie chcę uwolnić otoczenia od mojej obecności? Wiem przecież, jak skończę.

Boję się pozostać dziś w domu. Widzę to powolne, martwe widmo, widzę, jak kołysze się po wszystkich ścianach, niby ręcznik brudny. Byleby tylko nie zechciał mnie odwiedzić...

Na dworze zawierucha wyje, jak psy, gdy trupa węszą; to ród mój ściąga tu tłumnie ze wszystkich możliwych cmentarzy

cyenta oraz siostry miłosierdzia, która była przy nim po zdjęciu opatrunku, świadczą przeciwko przyjętemu twierdzeniu, jakoby w pierwszej chwili wszystkie przedmioty miały wydawać się tuż przy oku i dopiero stopniowo naucza się widzący oceniać ich odległość. Operowany nie mógł nawet zrozumieć znaczenia pytań w tym kierunku i zawsze odpowiadał, że od samego początku widział przedmioty w odległości. Zgodnie z tem, co podają o operowanym przez Cheseldena, pacyent ten widział z początku wszystkie przedmioty większymi, niż później. Fakt ten zresztą możemy stwierdzić na sobie. Każdy, kto miał sposobność po dłuższem niewidzeniu oglądać powtórnie przedmioty, które widział, będąc dzieckiem, zauważy, że one wydawały się nierównie większymi w dzieciństwie. Grefé tłomaczy to złudzenie znaczniejszym wysiłkiem, jakiego potrzebują niewyćwiczone jeszcze mięśnie oczne dla przesunięcia oka z jednego punktu przedmiotu na drugi. Lecz w takim razie należałoby przypuścić, że pomiędzy wysiłkiem mięśnia a wyobrażeniem przestrzeniowem istnieje pewien stały stosunek, niezależny od doświadczenia. Tem przecenianiem stosunków wielkości przedmiotów objaśnia spostrzegacz okoliczność, że pacyent w pierwszych dniach po operacyi nie mógł odrazu trafić ręką na przedmiot, który chciał wziąć, lecz zwykle chwytał bliżej. Objaśnienie to jednak zawiera sprzeczność z poprzedniem; skoro bowiem powiększone były z powodu utrudnionych ruchów oka same przedmioty, to i odległości między niemi musiały się wydać większe w tym samym stosunku i dla tej samej przyczyny.

Spostrzeżenia wreszcie co do oceniania kształtów nie są wcale przekonywające: operowany, o którym mowa, różnił się od swoich poprzedników wielką łatwością w poznawaniu przedmiotów, które poprzednio znał tylko z wrażeń dotykowych (np. różańca, nożyczek, palców, dłoni itd.); ale temu zdaje się dopomagały wskazówki uboczne; tak przynajmniej co do pierwszego, który mu pokazała siostra po zdjęciu opatrunku, sam wytłomaczył, że dźwięk przezeń wydany kazał mu się domyśleć, co to za przedmiot. To samo mogło stosować się do nożyczek, palce zaś własne mógł widzieć w pierwszej chwili po zdjęciu opatrunku lub też przed operacyą, trzymając rękę przed oczami, skierowanemi na światło.

Przed kilkunastu laty wygłosił Charpentier teoryę barw, opartą na przypuszczeniu, że oko nie ujmuje wszystkich barw z jednakową prędkością, lecz że percepcya barw silniej się załamujących (fioletowej, niebieskiej) ulega opóźnieniu. Obecnie stwierdza on to doświadczeniem bezpośredniem ze spektroskopem; gdy za pomocą osobnego urządzenia oświetla się szpara spektroskopu chwilowo, oko nie widzi odrazu całego widma, lecz barwy przebiegają jak błyskawica od czerwonego końca ku fioletowemu *).

Ażeby zakończyć z psychologią czystą, zaznaczyć wypada, że na wystawie w Chicago ma być urządzona pracownia psychologiczna, w której przez sześć miesięcy odbywać się będą doświadczenia nad odwiedzającymi wystawę, dotyczące wrażliwości, prędkości ruchów, spraw umysłowych itd. Obok tego wystawione będą wszystkie przyrządy, używane do doświadczeń psychologicznych.

Do zakresu psychologii stosowanej zaliczyć możemy ciekawe doświadczenia Férégo nad wpływem wzruszeń na wrażliwość względem zarazków. Oddawna już istnieją spostrzeżenia wykazujące, że obawa lub wrażenia smutne, przygnębiające, zwiększają wrażliwość na zakażenie. Tak Sennert przypuszcza, że róża może pochodzić z przestrachu **); Hoffmann przypisuje przestrachowi zwiększenie wrażliwości na wszelkie choroby zakaźne; inni pisarze wspominają o wpływie wzruszeń na zakażenie wścieklizną, dżumą itd.

*) To samo spostrzegł w r. 1887 piszący te wiersze na sierpach barwnych (widmie chromosfery), ukazujących się w chwili końcowej zaćmienia całkowitego słońca. Zjawisko to trwa około 1/8 sek. Sierpy barwne nie ukazały się ani jednocześnie wszystkie, ani w tym porządku, jakiego się należało spodziewać według rozległości rozmaitych gazów w chromosferze, ale przebiegły wzdłuż widma, zaczynając od czerwonego jego końca ku fioletowemu.

**) Opinia bardzo rozpowszechniona wśród ludu naszego — jeszcze jeden fakt na korzyść tego twierdzenia folklorystów, że opinie naukowe ludu są opóźnionymi odgłosami tych teoryj, które poprzednio były naukowemi teoryami klas inteligentnych.

Féré nietylko zdołał dowieść za pomocą szeregu doświadczeń, że wszelkie afekty przygnębiające, również jak środki chemiczne, obniżające czynność nerwową (opium, bromek potasu, chloral) zwiększają wrażliwość na zarazki, ale związał to spostrzeżenia ze znaną teoryą fagocytów, tłomaczącą oporność organizmu tem, że białe ciałka krwi pożerają zarazki, skoro tylko ostatnie dostaną się do krwi.

Doświadczenia odbywały się dwojako. Do jednych brano krew zwierząt przestraszonych poprzednio, w którą wysiewano zarazki, obok zaś (dla porównania podobnie zarazki wysiewano do krwi zwierząt normalnych. W pierwszej najczęściej powstawały kolonie mikrobów; druga była zawsze jałową *). W drugim szeregu prób zaszczepiano zarazki zwierzętom, z których jedne były nastraszone lub męczone w inny sposób, drugie zaś spokojne. We wszystkich wypadkach pierwsze umierały wcześniej, jeśli zakażenie było śmiertelne; jeśli zaś brano zarazki osłabione, tylko zwierzęta męczone umierały, kontrolujące zaś zostawały przy życiu.

Wreszcie wprowadzając pod skórę królikowi rureczki włoskowate, napełnione zarazkami, znajdowano po upływie 24 godzin rurki te napełnione białemi ciałkami krwi, (fagocytami, czyli pożerającemi zarazki komórkami), które, gromadząc się u otworu, stanowiły prawdziwą zatyczkę u zwierząt spokojnych, u nastraszonych zaś zawartość rurki była przezroczystą; znajdowało się w niej bardzo mało ciałek krwi. Wzruszenia więc przygnębiające osłabiają oporność organizmu przez zmniejszenie zdolności do walki jego fagocytów.

Prócz tego Féré spostrzegł na paralitykach, którym szczepił ospę, że ona łatwiej się przyjmowała na sparaliżowanych członkach, niż na zdrowych. Wszystko to wykazuje, jak ważnym czynnikiem, zwiększającym klęski epidemii, może być strach przed nią.

Przed siedmiu laty podczas epidemii w Hiszpanii, dr. Ferran w Barcelonie, po licznych doświadczeniach nad zwierzętami zaczął szczepić ludziom osłabione kultury przecinka cholerycznego. Próby te przyjęto

*) Wiadomo, że krew zdrowa posiada zdolność niszczenia zarazków w pewnych granicach.

---

północy i południa, wschodu i zachodu, a *on* — na czele. Tuż za nim widzę mego podagrowatego ojca, za nim zaś bledniącym, niknącym szeregiem ciągną się dziady i pradziady, babki i prababki, głupio patrząc przed siebie, pogwizdując w rytm wielkiego, złowieszczego pienia duchów. Nie boję się. Moje miejsce — w tym właśnie tłumie; niebawem przyjdę. Posilę się tylko jeszcze śmiertelnym trunkiem mego wuja.

Chodź, stary chłopcze; chodź, przyjacielu. Nie boję się. Jesteś szczęśliwszym ode mnie; przebyłeś już górę. Jeżeli powiesiłeś się istotnie — a przeczuwam coś podobnego, mimo szczupłych ram listu — jeżeli powiesiłeś się istotnie, masz mój szacunek; przychodź i naucz mnie wstąpić i pod tym względem w twoje ślady — pójść w ślady jedynego rozsądnego czynu, jakiego w życiu twojem dokonałeś. Pokój z tobą, bracie w grzechach i smutku, przedostatnia latorośli wymierającego rodu. „Skończyliśmy; czas ustąpić innym...“ Tak, tak; przychodzę, przychodzę. alež przyjdę, przyjdę wkrótce... Dobranoc i do widzenia. Pokój z tobą!

Pokój wam wszystkim. Wracajcie do domu i połóżcie się, każdy na swoim cmentarzu. Nie moja to wina, że nic się ze mnie nie zrobiło; wina to wasza; lecz przebaczam wam. I wyście nie winni, i wy nie. Dobranoc. Śpijcie spokojnie.

Hu, jak tu zimno i smutno; precz stąd — do ludzi — muszę widzieć ludzi...

* * *

...Dr. Kwaale dałby mi morfiny. Lecz wtajemniczyć go...?

* * *

Boże ty mój, czyż opłaca się zadawać sobie tyle trudu? Śmierć i tak przecież przyjdzie... Chyba, że szłoby o oswobodzenie się od obawy *delirium tremens*.

Chociaż niebezpieczeństwa jeszcze nie ma. Kwaale żąda tylko, abym gorliwie używał spaceru, ruchu na świeżem powietrzu. Ta nudna pora zimowa z tymi ciemnymi wieczorami; jestem trochę zdenerwowany i czuję się nieswój podczas samotnych przechadzek.

Biedny wuj Berent nie przestrasza mnie zresztą. Widzę go ciągle — widzę, jak kiwa i kołysze się, zasypiając z bardzo wesołym uśmiechem na krągłej twarzy; chce tylko uraczyć się dłuższą trochę drzemką. Położenie nie zdaje mu się zbytnio przeszkadzać.

Prawie że wcale go nie znałem.

* * *

Tak dalej być nie może. Niema rady, trzeba jeść, choć jabłko kwaśne, trzeba się znowu pogodzić z pastorem Löchenem i zaciągnąć go na te moje spacery.

Głupie to było z mojej strony. Uczynił to naturalnie w najlepszej myśli; że też zawsze jestem takim wrażliwym. A w dodatku miał przecież słuszność. To wieczne zapijanie się jest, właściwie mówiąc, idyotyzmem.

Lecz to tylko wina tej wiecznej pustki i samotności — Fanny, Fanny! Dlaczegóż nie spotkałem cię wcześniej?

Dobrze mu mówić, skoro sam ma spokojny, ciepły dom własny, koło siebie — porządek, dobrego Boga i przyjemną żonę; o, nie zna on tej męki — tego szarpania pod piersią, tej niszczącej, gubiącej tęsknoty, a nadto tego chłodu nie zna... Łatwo im mówić, im szczęśliwym, bez trosk żyjącym — nudni ludzie.

* * *

Jonatan należy do tegoż gatunku.

Cały jego sposób zapatrywania się właściwie jest mi wstrętny. „Człowiek dumny radzi sobie ze światem albo opuszcza go“; „człowiek inteligentny umie urządzić sobie życie i świat“... Zawsze te frazesy, te puste, szmaciane frazesy.

— Fe! „Świat.“ Dół nawozowy, kloaka. „Wszystko płynie“—powiedział stary osioł; równie dobrze mógł był powiedzieć: wszystko... pachnie...

XXVII.

Ach, jakże zazdroszczę tym księżom! Pomyślcie, mieć coś, co jest człowiekowi święte...

Coś, dla czego ma się religię; coś, co ma wartość, trwanie, trwałość; coś, przy czem odpocząć można, na czem polegać można i czego można się trzymać we wszystkich wypadkach życia...

Coś, co jest dla człowieka święte. Doprawdy — święte! Tajemna nadzieja i bło-

wówczas lekceważąco. Przed czterema laty doświadczenia w tym kierunku robione były przez Gamaleję; wykazał on, że zwyczajny zarazek choleryczny, niedziałający na świnkę morską, zaszczepiony ubezpiecza ją jednak od wzmocnionego zabójczego dla niej zarazka.

Obecnie Haffkin doszedł do tych samych wyników inną drogą. Ubezpieczał on te zwierzęta od zarazka wzmocnionego, zaszczepiając im normalny zarazek choleryczny, osłabiony przez ciągłe ogrzewanie do 39°C przy obfitym przypływie powietrza. Ogrzewanie w tych warunkach wkrótce zabija zarazki; ale wysiewając nowe co drugi dzień, można mieć ciągle osłabiony zarazek choleryczny. Przekonawszy się o skuteczności tego szczepienia na zwierzętach, Haffkin spróbował go spoczątku na sobie, później na kilku innych osobach. Szczepienie wywoływało lekkie niezdrowie (podwyższenie temperatury o 1 stopień i inne objawy gorączki, trwające 24 godzin. bez żadnych zmian w przewodzie pokarmowym. Osobom w ten sposób ubezpieczonym szczepiono następnie wzmocniony zarazek choleryczny, który nie wywołał większych zaburzeń w ich organizmie nad te, jakie tylko co wymieniliśmy.

Szczepienie ochronne cholery daje zarazem metodę leczenia tej choroby. Gamaleja wykazał, że psy są bardzo wrażliwe na cholerę, natomiast łatwo je uczynić opornemi za pomocą odpowiednich szczepień. Ponieważ dowiedziono już wielokrotnie, że surowica krwi zwierząt opornych posiada własności lecznicze, mogłaby więc w ciężkich wypadkach cholery znaleźć zastosowanie surowica psów szczepionych.

Arloing otrzymał bulion, zawierający w roztworze substancye wydzielone przez bakterye karbunkułu, ale pozbawiony tych ostatnich. Bulion ten, zastrzyknięty do żył lub pod skórę owcom, ubezpiecza je od karbunkułu. Za pomocą szeregu doświadczeń przekonał się on, że substancya zabezpieczająca jest rzeczywiście wytworem bacyllów i znajduje się w liczbie rozpuszczalnych w alkoholu substancyj przez nie utworzonych.

Nadzwyczaj ciekawe są wyniki otrzymane przez Richeta z doświadczeń nad wpływem metali na fermentacyę mleczną *). Okazało się że każdy z metalów badanych w pewnych bardzo małych dozach przyśpiesza tę fermentacyę, w nieco większych osłabia ją, przy dalszem zaś zwiększeniu dozy —przerywa zupełnie. Nawet tak zabójczy dla wszystkich fermentów sublimat przyśpiesza fermentacyę mleczną, jeśli jest wzięty w stosunku $1/4$ miligrama na litr (tj. 1:4,000,000); sole miedzi działają tak samo w tem samem rozcieńczeniu; sole żelaza, manganu i magnezium w znacznie większej dozie. Porównywając działanie metalów pospolitszych z rzadszymi znalazł R. że mniej rozpowszechnione w naturze są zarazem bardziej trujące. Tak cynk jest 100 razy mniej trujący, niż kadmium; żelazo sto razy mniej od niklu. Wreszcie obliczając zawartość metalu na ilość cząsteczek jego w roztworze, wykrył R., że rtęć, miedź, złoto, platyna, kadmium i nikiel, są zabójcze już w stutysięcznej części molekuły; cynk, ołów, żelazo, glin — w tysiącznych częściach; magnezium, lityna, potas, sód, wapień, stroncyum baryum — w dziesiątych częściach molekuły.

Wyniki te prawdopodobnie dadzą się zastosować i do innych rodzajów fermentacyi.

Potężnym środkiem przeciwko wszelkim fermentacyom, a więc i zarazkom jest aldehyd mrówkowy. Berlioz i Trillat, którzy czynili doświadczenia z tym środkiem przyszli do wniosku: 1) że para aldehydu mrówkowego bardzo chciwie pochłania się przez tkanki organiczne; 2) że działa ona jako antyseptyk (tj. przeszkadza rozwojowi bakteryj), jako środek przeciwfermentacyjny czyli przeszkadza czynności mikroorganizmów; wreszcie jako zabójczy środek na nie. Para ta nie jest szkodliwa, chyba po obfitem kilkogodzinnem wdychaniu. Stąd wynika, że środek ten może znaleźć obszerne zastosowanie w chorobach dróg oddechowych.

Dotychczas uważano za fakt niewątpliwy, że utlenianie odbywa się w tkankach organizmu, pod wpływem tlenu, który roznosi krew (w związku z hemoglobiną czerwonych ciałek), płuca zaś tylko wprowadzają do krwi tlen i wydalają z niej utworzony przez spalenie tkanek kwas węglowy. Doświadczenia Bahra i Henriqueza podają w wątpliwość to mniemanie. Wypada z nich, że pewna ilość wydychanego kwasu węglowego tworzy się w samych płucach wskutek utleniania jakichś nieznanych, zawartych w krwi substancyj i że do tej sprawy niezbędnym jest przebieg krwi przez płuca.

*) T. j. przemianą cukru mlecznego na kwas mleczny, czego wynikiem jest ścinanie się (zwarzenie się) mleka.

Brown Séquard wspólnie z Arsonvalem komunikują wyniki doświadczeń nad wstrzykiwaniem cieczy organicznych, wziętych od zwierząt zdrowych. Wstrzykiwania te mają na celu zasilić organizm w substancye brakujące mu wskutek osłabionej czynności gruczołków lub innych organów. Ciecze te ulegać winny poprzedniej sterylizacyi kwasem węglowym pod wysokim ciśnieniem; wtedy mogą być wstrzykiwane bez żadnych następstw szkodliwych. Z doświadczeń wynika, że ciecz z gruczołów tarczowych, wstrzyknięta chorym cierpiącym z powodu nieczynności tego gruczołu, okazuje bardzo pomyślne skutki lecznicze. Również przypominają badacze o nowych danych, dotyczących wstrzykiwań wyciągów z nadnerczy przy chorobach tych organów *).

Grigorescu donosi o trzech wypadkach zwiększenia prędkości przeniesienia wrażeń dotykowych pod wpływem wstrzykiwań cieczy Browna Séquarda chorym cierpiącym na osłabienie wrażliwości dotykowej wskutek cierpienia mlecza pacierzowego. Zwiększyła się również i wrażliwość, niemniej i inne objawy przybrały charakter pomyślniejszy.

Aleksander Poehl badał chemiczny skład tej cieczy i znalazł w niej oprócz albuminoidów, lecytyny i nukleiny liczne leukomainy i znaczną zawartość sperminy. Ciało to znajduje się w rozmaitych gruczołach, niemniej i w krwi. Fizyologiczne badanie sperminy wykazało, że nie działa ona sama utleniająco, lecz obecność jej ułatwia utlenienie rozmaitych ciał (zwłaszcza leukomainów), co tłomaczy jej wpływ wzmacniający na organizm.

*) Por. kronikę przyrodniczą w N. 30 *Prawdy*.

Wł. M. K.

---

gie zapewnienie; coś, czego nie pozwala się wyszydzać i obwąchiwać, coś, co jest drogie, coś, co się ochrania i pielęgnuje.

Spokój, którego świat ani dać, ani wziąć nie może; skarb, którego ani robak nie stoczy, ani rdza nie pożre.

Szczęście, błogość. Słodkie to — niby miłość tajemna, strzeżone — niby ognisko własne. O, ja bezdomny jestem i stracony, ja, który straciłem nietylko mienie, ale nawet zdolność znalezienia drogi do domu!

Pełen ran leżę u progu bogacza, lecz tem niemniej co rano budzę się w piekle i kałuży.

* * *

Ach, co warte te „wielkie idee,“ któremi mamy się zadowolić... nawet zamiast religii! Kiedy przypominam sobie ilość i wielkość idej, na których cześć wraz z innymi piłem — począwszy od skandynawizmu, a skończywszy na wolnej myśli — kiedy przypominam sobie te idee, po części zrealizowane, po części zaś niezrealizowane, a w obu razach — bez żadnego wpływu na zmniejszenie naszego nieszczęścia... bierze mnie chęć sparodyowania słów poety i powiedzenia:

Pełne krzyku przechwały — to targu początek,
Jedno tchnienie choroby—to przechwał czczy wątek.
Człowiek spocznie w mogile, zanim się spodzieje,
Jeden podmuch zabija i sny i nadzieje!

* * *

Jedna myśl napełnia mnie tęsknotą — myśl o klasztorze.

Wstąpić do świętego katolickiego kościoła, a następnie do klasztoru. Do najcichszej, najsurowszej celi, gdzie spałbym na słomie i biczowałbym przeklęte moje ciało przed obrazem ukrzyżowanego.

Lecz nad mojem łożem musiałaby królować *ona*, dziewica święta, matka o siedmiu ranach w młodem sercu. Błogosławiona między niewiastami; czysta, która jednak *wie*; bolesna, cierpieniom poświęcona i cierpieniem uświęcona, która płakać umie i pocieszać... żebrałbym, i błagałbym, i modliłbym się póty, póki by nie zstąpiła ze swej niszy i nie przyłożyła białej dłoni do zranionego mojego serca — nie przyłożyła jej po macierzyńsku, czule, kojąco.

* * *

„Kochać ludzi.“ Tego wymaga każda etyka. Religijna również jak i humanitarna.

„Kochać ludzi.“ Jakże ich kochać? Nie są szczególnie miłości godni.

Nie umiem się nawet zdobyć na miłość dla samego siebie. Jestem dość wstrętnym robakiem i samoposzanowanie moje czasem dość wstrętnie wygląda. Mimo to, objektywnie wziąwszy, należę do lepszych jednostek gatunku; większość tych, których spotykam, jest jeszcze gorsza, wstrętniejsza. W takich warunkach kochać tę rasę, albo przynajmniej nie nienawidzieć jej..?

* * *

Jestem tak chory, mateńko,
Że nic w mej duszy nie śpiewa,
Gdy wspomnę o zmarłej Gretchen,
Serce mi bólem nabrzmiewa.

„Wstań, pójdziemy do Kewlar —
Odrzecze matka synowi.
Tam Przenajświętsza Dziewica
Twe serce chore uzdrowi.

. . . .

Na łożu, w cichej komorze,
Śpi syn i matka spoczywa,
Nagle do chaty z lazurów
Najświętsza Panna w mgle spływa.

Schyla się zlekka do łoża
I dłoń — jasności promyka —
Kładzie na serce choremu,
Patrzy nań chwilę i znika.

Matka to we śnie widziała,
Dziwny jej ciężar dolega,
Zrywa się ze snu wylękła
I drżąc do łoża przybiega.

Tam leżał syn jej — nieżywy!
Z białym krzyżykiem u ręki,
Lecz twarz miał jasną, pogodną,
Jak gdyby odblask jutrzenki *).

*) H. Heine, *Pielgrzymka do Kewlaar*, przekład A. Kraushara.

(D. c. n.).

PLASTYCZNE ŚLADY EPOKI LODOWEJ.

(Dokończenie).

Przy tak powolnych zmianach ruchu lodowca jego formy erozyjne muszą mieć bardzo małą głębokość w porównaniu z ich rozmiarami poziomemi. Jeżeli bowiem lodowiec zacznie z jakiejś przyczyny gdzieś głębiej wyżłabiać to będzie czynił to na znacznej przestrzeni, bo skutek w lodowcu trwa, jak wiadomo, dłużej niż przyczyna, a tym sposobem głębokość wyżłobienia względnie będzie zawsze nieznaczna. Tym sposobem dochodzimy teoretycznie do tego samego cośmy obserwowali na obszarach dawnego zlodowacenia to jest, że działanie lodowców wytwarza plastykę mało zróżniczkowaną, mianowicie łagodne formy niecek i baranich łbów.

Jak w rzekach tak i w lodowcach zdolność erozyjna musi wzrastać z ich rozmiarami, lodowce więc diluwialne na przeszło 1000 m. grube musiały posiadać tę zdolność w wyższym stopniu niż stosunkowo drobne lodowce obecne. Ponieważ zaś lodowce podczas swego pobytu w gorach płynęły w dolinach, więc musiały w nich wytworzyć długie nieckowate zagłębienia, a gdy po zniknięciu lodowców doliny te znów zostały zajęte przez rzeki, to nieckowate ich zagłębienie musiały się napełnić wodą i utworzyć jeziora.

I rzeczywiście, jeżeli przejrzymy obszary dawnego zlodowacenia, to przekonamy się, że wybitną ich cechą jest obfitość jezior. Wprawdzie czasami na obszarach, które nie były nigdy zlodowacone, spotykamy też znaczne jeziora, albowiem zagłębienia jeziorne mogły powstać w bardzo różny sposób (zapadnięcia, zatamowania itd.). A więc nie wszędzie, gdzie dziś znajdują się jeziora, tam niegdyś były lodowce, ale wszędzie gdzie były niegdyś lodowce, tam są obecnie jeziora (lub przynajmniej ich ślady). Przytem wielkość tych jezior odpowiada wielkości dawnego zlodowacenia. Względne rozmiary zlodowaceń: alpejskiego, skandynawskiego i północno-amerykańskiego odbijają się też w stosunkach wielkości tamtejszych jezior.

Ze wszystkich obszarów dawnego zlodowacenia najpilniej badanym był alpejski, który też i był punktem wyjścia dla nauki o epoce lodowej. Rzuciwszy okiem na ten obszar, spostrzegamy tam przedewszystkiem dokoła Alp szereg wielkich jezior rozłożonych wzdłuż krawędzi dawnego zlodowacenia. Odpowiednio do tego czy dawne lodowce sięgały dalej czy bliżej po za obszar gor, czy też go całkiem nie przekraczały, leżą te jeziora albo daleko na zewnątrz gor jak jeziora wyżyny Szwajcarskiej i Bawarskiej, albo napół w górach a napol na przyległych im rowninach, jak jeziora na południowym stoku Alp, albo leżą w obrębie gor i to mianowicie bądź na ich skraju, jak jeziora Salzkammergutu, bądź we wnętrzu, jak jeziora Karyntyi.

Lodowce musiały tam żłobić grunt najbardziej, gdzie z silnie pochylonych dolin alpejskich wychodziły na okoliczne równiny albowiem tutaj natrafiały one na przeszkodę zmuszającą ich do zmiany kierunku ruchu, a ponieważ lodowce jak wiemy, nie prędko się do zmian przystosowywują, mają skłonność do utrzymania pierwotnego kierunku, więc w tych miejscach, gdzie pochyłe dno przechodzi nagle w poziome, lodowce musiały wygrzebywać zagłębienia (tembardziej, że tu napotykały zwykle grunt miększy); w dalszej drodze z powodu stopniowego przystosowywania się do zmiany kierunku, z powodu zwolnienia ruchu i utraty na grubości, lodowce już mniej miały siły erozyjnej, tembardziej, że na końcu z powodu małej grubości bieg płynący lodowca przechodzi wślizgający się, lodowiec nawet nie przylega ściśle do dna.

Zgodnie z powyższem głębokość jezior nietylko odpowiada wielkości i pochyłości odnośnego dawnego lodowca, ale coraz zmniejsza się w miarę oddalenia od gór. Największej głębokości 300—400 m. dosięgają jeziora lombardzkie, gdyż tutaj lodowce, wychodząc na równinę, doznały największej zmiany pochyłości łożyska, podczas gdy pochyłość ich powierzchni była bardzo znaczna. Tak wielka głębokość jezior wywołuje u wielu uczonych wątpliwość, czy mogą one być wynikiem erozyi lodowców; nie należy tu jednak uważać tej głębokości absolutnie, lecz w porównaniu z rozmiarami poziomymi, a nie wyda się ona bynajmniej tak znaczną, szczególniej, jeżeli pokonamy w sobie pewne błędne uczucie subjektywne oparte na tem, że odległości małe, które często w życiu codziennem przebywamy, wyobrażamy sobie dobrze, odległości zaś wielkich nie możemy sobie dokładnie wyobrazić i zwykle ich niedoceniamy; głębokość więc jeziora, która przedstawia zawsze odległość niewielką, wyobrażamy sobie wiernie, a rozległości poziomej wielomilowej niedoceniamy, stąd otrzymujemy wrażenie zbyt wielkiej głębokości. To też każdy się zdziwi, gdy usłyszy, że największa głębokość alpejskiego jeziora w podłużnym profilu na 1 cm. długim już nie da się przedstawić: normalna grubość kreski już będzie na to za wielką, albowiem np. w jeziorze Komo głębokość stanowi $^1/_{130}$ długości, a w jeziorze Garda nawet tylko $^1/_{180}$. Jeziora więc przedstawiają tak płytkie naczynia, iż pod względem orograficznym zagłębienia te nie mają żadnego znaczenia i tylko pod względem hidrograficznym przez napełnienie wodą stają się tak wybitnemi. Gdyby wody jezior znikły, to wielu zagłębień oko nasze zupełnie by nie zauważyło. Tak więc stosunki głębokości jezior nie mogą stanowić argumentu przeciw ich lodowcowemu pochodzeniu.

Jeżeli teraz opuścimy bogate w jeziora obszary na skrajach dawnego zlodowacenia i udamy się we wnętrze krain górskich, to zdawałoby się iż i tutaj powinniśmy napotkać w dolinach liczne jeziora, bo i tutaj lodowce miały sposobność wyżłabiać płytkie nieckowate brózdy; tymczasem obserwacya zawodzi nasze oczekiwanie. W dolinach głównych nie spotykamy albo całkiem jezior, albo też tylko bardzo nieliczne i dopiero gdy wzniesiemy się po nad pewną granicę wysokości, spotkamy w wysokich dolinach i cyrkach znów jeziora, choć zwykle bardzo drobne; są to prawdziwe jeziora górskie (Hochseen). Ale ten brak jezior w głównych dolinach (jak również brak ich w niektórych miejscach i na skrajach gór) jest tylko pozorny, a właściwie odnosi się tylko do chwili obecnej: dawniej były tu jeziora, lecz z czasem znikły, albowiem woda płynąca pracuje wciąż nad zniszczeniem jezior: z góry znosi ona muł i rumowisko i tym sposobem wypełnia zagłębienia, u dołu zaś pogłębia wciąż łożysko odpływu i tym sposobem uskutecznia naturalne spuszczanie jezior. To dzieło zniszczenia postępuje stosunkowo bardzo szybko: na samem tylko terytoryum Tyrolu, jak uczy porównanie map starych z nowemi, w ciągu ostatnich stu lat zniknęło 118 jezior, a ileż ich zniknąć mogło na całym obszarze Alp w czasie od epoki lodowej! I rzeczywiście na każdym kroku w dolinach alpejskich napotyka geograf niezbite ślady wygasłych jezior, które obecnie stanowią bądź głębokie torfowiska, bądź wypróżnione kotliny. Niegdyś więc doliny alpejskie musiały przedstawiać taki widok, jaki obecnie właściwy jest niektórym dolinom Norwegii, które zamiast rzek posiadają szeregi podłużnych jezior połączonych krótkiemi kaskadami i prądowinami. Że doliny alpejskie przedstawiają pod tym względem fazę dalej posuniętą, to wynika stąd, iż zlodowacenie Alp było mniejsze od skandynawskiego i prędzej zniknęło tak iż tutaj rzeki dawniej zaczęły swą pracę niszczącą jeziora. W samych zaś dolinach alpejskich przy cofaniu się zlodowacenia obszary niżej leżące wcześniej zostały oswobodzone od lodów niż wyższe i dla tego niszczenie jezior niżej leżących wcześniej się zaczęło i prędzej ukończyło niż właściwych jezior górskich, które dlatego dotąd się utrzymały. Że zaś wiele jezior niżej leżących w górach i na sąsiednich z niemi równinach też się jeszcze utrzymało, zawdzięczają to jedynie swej znacznej wielkości; w każdym razie uległy one już znacznemu zmniejszeniu w porównaniu z rozmiarami pierwotnemi.

Właściwe więc jeziora górskie repezentują nam w swem nagromadzeniu ten obszar, w obrębie którego woda po zniknięciu lodowców nie miała jeszcze czasu do zniszczenia jezior. Dlatego jeziora te spotykamy najczęściej w bezpośrednim sąsiedztwie z regionem lodowców, a tam gdzie lodowce już całkiem zniknęły — w najwyższych odgałęzieniach dolin i w cyrkach; w górach zaś, które nigdy nie były zlodowacone, górskich jezior brak prawie zupełnie. Uderzającą jest przytem prawidłowość, z jaką jeziora górskie są przywiązane do pewnej wysokości, która znów odpowiada stanowi zlodowacenia.

Głębokość jezior górskich, jest absolutnie wziąwszy, zwykle mała: zwykle kilka metrów, rzadko nad 30 m. Ponieważ jednak ich rozmiary poziome są przytem małe, więc głębokość ich, wzięta względnie, jest nieporównanie większa od głębokości wielkich jezior dolinowych i równinowych. Jeziora górskie nie są już tak bardzo łagodnemi zagłębieniami jak jeziora poprzednich kategoryj, odpowiadają one erozyi, choć absolutnie mniejszej, ale lokalnie skoncentrowanej, energiczniejszej. Wiele z nich przedstawia poprostu wypełnienia wodą zagłębień między większemi baraniemi łbami, mniejsze oszlifowane garby skalne sterczą nierzadko z pośród powierzchni wodnej jako miniaturowe wysepki, a skierowane ku górze szramy lodowcowe na skalistym progu zamykającym zagłębienie oraz na zboczach wskazują, że lodowiec posuwał się tu z dna kotliny jeziornej pod górę. Trzeba tu jednak raz jeszcze zauważyć, że i na obszarach dawnego zlodowacenia nie wszystkie jeziora powstały przez erozyę lodowcową. Bardzo liczne szczególniej mniejsze jeziora powstały wskutek zatamowania wody przez szuter rzeczny, osypiska i moreny końcowe, albo też są prostemi wypełnieniami wodą zagłębień powstałych wskutek nierównego osadzenia się moreny dennej. Te ostatnie są analogiczne z temi kałużami, jakie rzeka po wylewie pozostawia na szutrze nierówno osadzonym na obszarze poprzedniego zalewu. Lodowce bowiem nie wszędzie wywierają działanie erozyjne: jak rzeka w jednych miejscach pogłębia łożysko, w innych osadza unoszony materyał tak samo i lodowiec: w lodowcach nietylko miejsca z silniejszą erozyą zmieniają się z miejscami erozyi słabszej, ale także z miejscami, gdzie lodowiec nie wyżłabia zupełnie, lecz przeciwnie osadza swą morenę denną. Te moreny denne dawnych lodowców mają daleko większą grubość niż moreny lodowców dzisiejszych tak iż grubość moreny dennej znajduje się w prostym stosunku do grubości lodowców. I ta okoliczność wskazuje na znaczną działalność erozyjną lodowców, gdyby bowiem morena denna pochodziła tylko z produktów dawnego zwietrzenia, jakie lodowce w czasie posuwania się na swej drodze napotkały, to morena denna dawnych lodowców nie powinnaby się tak bardzo różnić od moren lodowców dzisiejszych; tak więc dawne lodowce musiały wytworzyć morenę denną przeważnie przez erozyę swego dna *).

*) Mimo powyższych ograniczeń, jakie Böhm czyni dla erozyi lodowcowej oraz dla powstania z jej powodu jezior, przyznaje on jednak w porównaniu z innymi uczonymi (jak np. Heim) lodowcom jeszcze wielką

Wspomnieliśmy już, że większość jezior górskich leży w tak zwanych „cyrkach“ („Cirques“ w górach francuskich, „Karen“ w niemieckich, „Botner“ w skandynawskich, „Coombs“ w szkockich); są to charakterystyczne zagłębienia w stokach grzbietu górskiego na górnych końcach dolin, forma ich przypomina kocioł, który z jednej strony jest mniej lub więcej otwarty. Otwór ten w typowych cyrkach nie sięga do samego dna tak iż dno tworzy mniej lub więcej zamkniętą kotlinę, zawierającą jedno lub więcej jezior. Cyrki mogą się powtarzać jeden za drugim i nad drugim, przyczem dno każdego z nich jest oddzielone od głębiej leżącego stromym spadkiem. Takie cyrki występują wyłącznie w górach, które niegdyś były zlodowacone. W górach, które nie ulegały zlodowaceniu górne końce dolin mają zupełnie inny wygląd: są one lejkowate bez płaskiego okrągławego dna i bez nagłych zmian spadku. Ślady działania lodowców w cyrkach wykazują iż formy te powstały z lejków dolinowych zmodyfikowanych erozyjnem działaniem lodowców *).

Woda płynąca przeciwnie: jak na jeziora tak też i na cyrki działa niszcząco; u wyjścia z cyrku na stromej krawędzi spadającej ku dnu następnego cyrku lub doliny, woda zaczyna żłobić; z początku rzuca się ona wodospadem, ale żłobiąc krawędź coraz głębiej i posuwając robotę coraz dalej w górę we wnętrze cyrku, zmienia pierwotny nagły spadek na łagodny i zaciera charakter cyrku.

Uderzającą jest wielka stromość ścian dzielących sąsiednie cyrki; stromość ta jest właśnie uwarunkowana erozyą lodowców: lodowiec płynąc po szerokiej powierzchni nie ściera dość prędko krawędzi spadku, a natomiast wywiera silną erozyę u stóp spadku, gdzie ten przechodzi w łagodniejszy; stąd działanie lodowca zaostrza stromość spadku, podczas gdy woda, płynąc wzdłuż linii, koncentruje swe działanie i wrzyna się szybciej w krawędź, u spodu zaś nie działa tak silnie jak u góry, gdyż przy spadku rozdziela się zwykle na kilka gałęzi i po części rozpyla w powietrzu.

Widzimy więc, że między erozyą wody i lodowców istnieją różnice ilościowe, które wywołują tak wielkie różnice w ich wpływie na plastykę gruntu, że w jednem i tem samem miejscu praca jednego z tych dwóch czynników skierowana jest ku zniszczeniu dzieł drugiego.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA

(Dokończenie).

Kto przeczytał jeden z tworów Rogosza, dojrzy łacno wielkie podobieństwo środków artystycznych i treści wszystkich pozostałych. Jako indywidualność artystyczna R. jest umysłem pospolitym. Widownię powieściową zaludnia całym tłumem postaci wykrojonych pośpiesznie, nakreślonych szkicowo, lecz żywo, bynajmniej niewycieniowanych. Jest tam dużo ruchu, gwaru, intryga wątła; żadnych przełomów i pogmatwań psychicznych. Dużo prostoty, naturalności, prawdy realnej — co stanowi stronę dodatnią. „Grabarze“ odtwarzają kilka strumieni życia społecznego Galicyi. Akcya skupia się około trzech pierwiastków — biurokracyi, starej i „nowej szlachty.“ Walka biurokracyi ze szlachtą jest nawet jednym z motywów dramatycznych. Galicya w łańcuchu organizmów społecznych tworzy ognisko dosyć poślednie. Zastęp inteligencyi niezależnej, zawodowej jest tam nieliczny, wyrzutki (w znaczeniu socyologicznem stanu ziemiańsko-szlacheckiego, a także odrośle klas niższych w braku innej możliwości garnąć się muszą do szeregów urzędniczych. Niezadowolenie więc społecznej tej kohorty wylewać się musi jakimś mętnym potokiem, brudnospienionym utarczkami drobnemi, pogwarem poszeptów złośliwych i niechętnych. Jakaż ta biurokracya jest marna, zrutynizowana myślowo, nawet spodlona, „żar tytani“ jest dla niej fikcyą poetycką, światło wiedzy i cnót obywatelskich mieści się w paragrafach kodeksu, opary samolubstwa i karyery zakrywają przed nią szersze widnokręgi. Prezydent sądu, Turban, wspaniały to okaz czcicieli karyery i złotego cielca. Ciasna mózgownica wspaniale się kryje pod beretem dostojnika sądowego, przedajność i nepotyzm skromnie i wstydliwie tulą się pod togą wysokiego urzędnika. Wydał córkę za adwokata i dyskretnie dopomaga mu do wygrywania procesów. Kto nie ucieka się do pomocy tego ostatniego, jak hr. Tęczyński, tego gotów zgubić ze spokojnem sumieniem. Radca Darski nie mniej charakterystyczna figura, prostak, plebejusz ducha i dążeń, fanatyk kodeksu, zapamiętały wróg szlachty, bez rozmysłu wierzący w ich zbrodnię, jak w wypadku z hr. Tęczyńskim, skoro ma w ręku zewnętrzne poszlaki. Figury drugorzędne również są to umysły przyziemne, niewychylające się poza obręb klubu i biura, mszczące się w miarę sił na śmiałkach, niezsyłających im upominków lub nie zapraszających do swego towarzystwa. Żony ich są to kumoszki pospolite, prawowite córy gatunku „kura domowa,“ wiecznie plotkujące, swarzące się i kopiące dołki, lub samice trywialne, jak radczyni Darska, marząca o „światowcach“ i „szykowcach.“ „Nowa szlachta“ składa się z dwóch okazów — Bartłomieja Grzywy, dorobkiewicza, kutwy, lichwiarza chłopskiego i Romana Goldeifera, przechrzty, syna pospolitego lichwiarza żydowskiego, właściciela znacznej posiadłości ziemskiej. Grzywa jest to okaz dorobkiewicza, jaki się wytwarza zazwyczaj na tle rozkładu gospodarki wielkiej, tudzież chłopskiej. Nie jest to właściwie umiejętny rolnik — gospodarz, lecz spekulant niskiego gatunku, bogacący się wyszynkiem wódki, rozpajaniem ludu, wypasem wołów, a także lichwiarskiem zdzierstwem z chłopów. Przy nim gra rolę powiernika, tudzież mentora w stosunkach towarzyskich niejaki Lisiński, człowiek bez czci i honoru, lecz ze sprytem.

Otóż ten Grzywa postanawia ubiegać się o godność marszałka, czyli prezesa rady powiatowej, powodując się względami własnej korzyści materyalnej. Zabiegi te stanowią znaczną część książki, w końcu jednak prawie udaremnione zostały dzięki obywatelskiemu wystąpieniu hr. Tęczyńskiego.

W domu Grzywy przebywa jego młody bratanek, sierota, Antoś, z wykształcenia technik, młodzieniec ujmującego charakteru i wytwornej powierzchowności, o szlachetnych, jak zapewnia autor, popędach, lecz niesamodzielny, nawet mazgajowaty, wylewający z niezwykłą pochopnością całe zdroje zdawkowych sentymentów i gruchań miłosnych wobec swej ukochanej, hrabianki Zofii Tęczyńskiej. Krytyka dawno dostrzegła, iż powieściopisarzom naszym niewiedzie się w tworzeniu bohaterów. Są to zwykle albo pozytywki, wygłaszające „mądre“ i szumne frazesy, albo też manekiny, przywdziane w strój okazały i barwisty i wykonywujące na widowni powieściowej wielkie czyny podług modły idealizmu filisterskiego. Autor nie mógł nic bardziej idealnego wynaleść dla Antosia, jak pogoń do Ameryki po zdobycie fortuny. Bohaterowie filisterscy najchętniej lubią przebywać w kojcu stosunków rodzinnych wysłanym mniej więcej „skromnym dobrobytem.“

P. Goldeifer etycznie i duchowo jest bardzo pospolitym typem parweniusza żydowsko-mieszczańskiego, gwałtem chcący się dostać do wyższego towarzystwa, mawiający z emfazą: „my szlachta.“ Zachował on sporo rysów skąpstwa i nieporadności towarzyskiej. Jest to całkowity filister z domieszką żydowskiego sprytu, śmieszne skojarzenie potomka drobnomieszczańskiego, żywiołu handlarskiego z nowopowstałym przedstawicielem większej własności ziemskiej. Przy Goldeiferze funkcyę przewodnika towarzyskiego pełni Trocki, pysznie uchwycona sylwetka zbankrutowanego półpanka, sybaryty, cynika, troszczącego się wyłącznie o własny błogostan. Ciekawą postacią jest Julia, rzeczywista czy też domniemana siostrzenica Troickiego, awanturnica wyższego lotu, łowczyni różnorodnych uciech, zmysłowych i kulturalnych. Za pomocą zręcznie uknutego spisku udaje się jej poślubić Goldeifera, zastrzegłszy sobie w intercyzie małżeńskiej 40,000 gul. w razie zerwania związku z jego strony. Rozumie się, wnet po ślubie postarała się uzyskać rozwód. Sympatye swe autor zachowuje jednak dla starej szlachty, jej przedstawicieli otacza zasługami obywatelskiemi i cnotami rodzinnemi. Wątek akcyi snuje się głównie koło magnackiej niegdyś, lecz podupadłej obecnie rodziny hr. Tęczyńskich. Dom ich jest siedliskiem poczucia obywatelskiego i wytrwałej a owocnej pracy. Stary hrabia stanowi ucieleśnienie prawości charakteru. Jest to reprezentant starej, zanikającej warstwy ziemiańsko-szlacheckiej, różniącej się rdzennie od takiego Grzywy i Goldeifera, będących oznakami i zwiastunami nowej fazy własności ziemskiej. Prawda, jedyny syn jego, Stanisław, młodzieniec nerwowy, bez stałych i wyrobionych powściągów moralnych, kilkakrotnie ulegał namiętności do kart, nareszcie przegrał cały milion w Monaco, rodzina jednak spłaciła ten dług, obciążając niezmiernie tym sposobem swe dobra. Dawny przyjaciel hrabiego, książe de Montpellier, pociesza stroskanego ojca, twierdząc, „iż szlachcic to nie *episier*, musi się wyszumieć.“ Rzeczywiście, Stanisław po tym wypadku udał się do Ameryki, pozyskał tam korzystną posadę i całkowicie wyzbył się uprzedniej miękości charakteru, natomiast nabrał hartu moralnego. Powrócił następnie do kraju, ożenił się z młodą księżniczką de Montpellier, miłującą go całą głębią swej duszy arystokratycznej. Co to jednak za uroczy i przemożny talizman ta krew szlachecka! Póki młody Stanisław hartuje się w Brazylii, rodzina jego spędza dnie w smutku i pracy nieustannej. Zięć starego hrabiego, Konrad Paliński, gorliwie krząta się koło gospodarki rolnej. Córki hrabiego, żona Konrada, Alicya i młodziutka Zofia pracują wytrwale na swój sposób: handlują masłem, zakładają kantynę dla robotników, zatrudnionych przy budującej się kolei żelaznej. Czynności takie, niezwykłe w tem otoczeniu, wywołują powszechne zgorszenie. Alicya, żona Konrada, ledwie została dotkniętą przez autora, zarysowuje się jak we mgle, pomijamy ją więc zupełnie. Co się zaś tyczy Zosi, jest to nie-

zdolność erozyjną — jest erozyonistą. Kwestya erozyi lodowców nie jest dotąd jeszcze rozstrzygnięta, w każdym razie ostatni argument Böhma, co do wielkiej grubości moreny dennej dawnego zlodowacenia, nie wytrzymuje krytyki, albowiem każe przypuszczać, że zwietrzenie w czasie poprzedzającym epokę lodową odbywało się z taką samą energią jak i dzisiaj, co jest więcej niż wątpliwe: wilgotny klimat, który przygotował epokę lodową musiał wpływać na energiczniejsze niż dziś wietrzenie i tem też można wytłomaczyć większą grubość moreny z owych czasów. Powstanie wielu jezior przypisywanych erozyi lodowców można też wyjaśnić rozmaitą głębokością (grubością) zwietrzenia i wyprzątnięciem zwietrzałego materyału przez lodowce. Stwierdzono to świeżo co do zagłębień w okolicy wielkich lodowców grenlandzkich. (Por. Peterman's. Mitteilungen 1892. Literaturbericht N. 843).

*) Według Richthofena lodowiec w takim cyrku przybierał ruch wirowy, co potęgowało jego siłę erozyjną.

zdarne odtworzenie Mickiewiczowskiej Zosi, z domieszką tylko pracowitości, skierowanej nie na zaspokojenie potrzeb domowych, lecz obliczonej na zysk handlarski. Postać taka, o ile była właściwą i realną na zaraniu bieżącego stulecia, o tyle jest anachronizmem na jego schyłku. Bohaterowie pokroju filistersko-szlacheckiego są jakimś cudackim zlepkiem gołosłownej frazeologii, romantycznego temperamentu i sentymentalnego groszoróbstwa. Takiemi samemi właściwościami uposażone są również bohaterki. Biją z nich strumieniami kaskada letniej wody sentymentów, urocza niewinność i podlotkowość skłonności jest ich cechą wybitną. Czytelnicy takich powieści przyzwyczajają się uważać sentymentalne pianie kogutów i szczebiotliwe gdakanie kwoczek, zawartych w ciasnym kurniku, za najświetniejszy śpiew ideowy i uczuciowy. Do starej szlachty należy także Franuś Czapiński, hulaka, pustak, pierwszy lew powiatowy, chlubiący się trzymaniem służby w surowym rygorze, poczytujący pewne rękoczyny w odniesieniu do niej za tytuł do swej sławy, uznający herbarz za jedyne źródło wiedzy, którego gospodarka jednak idzie dosyć dobrym trybem. Widocznie, w mniemaniu autora, potomkowie karmazynów nieznacznie tylko mogą zbaczać z drogi dodatniej.

Głównym motywem dramatycznym powieści jest uwięzienie niesprawiedliwe hrabiego Tęczyńskiego obwinionego o zabójstwo starej i bogatej pani Zielińskiej, zamieszkałej oddawna w jego domu na prawach ciotki. Dzięki sprytnym i starannym zabiegom Goldeifera rzeczywisty zabójca, lokaj Dyonizy, został wykryty. Jak zwykle u powieściopisarzy tej kategoryi, bieg opowieści zakończył się bardzo szczęśliwem rozwiązaniem, ku zadowoleniu czytelników, nie lubiących rzeczy smutnych, o wysokiem napięciu dramatycznem.

Bronisław Chrzan..ski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WALKA Z FAŁSZERSTWEM.

Spożywca, troskliwy o swe zdrowie, z wielkiem zajęciem czyta sprawozdania w pismach codziennych o stale dokonywanych rewizyach targów, sklepów i jadłodajni. Niszczenie produktów nieświeżych lub zafałszowanych, pociąganie przekupniów do odpowiedzialności sądowej, sprawia mu wielkie zadowolenie i napełnia go otuchą. Trzeba przyznać, że nasze władze sanitarne nie drzemią, że się starają usilnie złapać złoczyńców, spekulujących na zdrowiu pubicznem. Czemże jest atoli skonfiskowanie w okresie tygodniowym kilkuset funtów niedobrych produktów lub skazanie na niewielkie grzywny restauratora niedbałego, wobec wszechstronnego fałszerstwa? Straże sanitarne zwiększyły swą czujność, zdobyły się na środki łatwego rozpoznawania zafałszowań; ale i spekulanci nie śpią; dziś nie poprzestając na prostych sposobach fałszowania, zawarli przymierze z nauką i przy jej pomocy walczą tą samą bronią z przeciwnikami, usiłującymi ich przekroczenia wykryć. Chemia stała się narzędziem obosiecznem i wywołała z obu stron wielkie natężenie w walce. Zanim zwyciężą całkowicie obrońcy zdrowia publicznego, nasze organizmy długo jeszcze będą podlegały stałemu zatruwaniu i to różnorodnemi drogami. Nawet wybredni smakosze i sybaryci nie mogą być pewni, czy kieliszek dobrego wina, szklanka kawy, befsztyk na maśle nie zawierają szkodliwych domieszek. Cóż mówić o średnio zamożnych, a tembardziej o „szarych“ tłumach?

W Wiedniu na obradującym niedawno wiecu aptekarzów chemik miejski odczytał sprawozdanie o tem, co stolica austryacka jada i pija. Otóż okazało się, że na 500 prób wypada 200 zafałszowań za pomocą margaryny, mąki kartoflanej, sody, krochmalu; octy trujące, metalowe, mięso przepełnione bakteryami, w kiełbasach 12% domieszek roślinnych, papryka z szwerspatu, cynamony i pieprze z niemożliwych przedmiotów, miód z gliną, kawy sztuczne i zapleśniałe, mąka, mleko, oliwa, wino, wszystko w najohydniejszy sposób podrobione. Dzieje się to w takiem mieście, gdzie opieka nad zdrowiem publicznem wysoce jest rozwinięta. Strach pomyśleć, jakie rezultaty wykazałaby u nas ścisła analiza pierwszorzędnych przedmiotów spożywczych... Przedewszystkiem zasługuje na uwagę najbardziej rozpowszechniona i spożywana przez miliony ludzi — margaryna. Badania wykazały że ten produkt zawiera pierwiastki, ulegające szybkiemu rozkładowi tudzież zarodki bakteryi szkodliwych. Pomimo atoli ciągłych alarmów prasy, pomimo licznych dowodów zabójczego działania tego tłuszczu na zdrowie ludzkie, stanowi on poważną gałąź przemysłu i rozprzestrzenia się w handlu bądź jawnie jako margaryna, bądź jako masło krowie, tem bardziej, że niewielka domieszka śmietany lub masła prawdziwego wybornie ułatwia fałszerstwo, a spekulantom daje lichwiarskie zyski. Weźmiemy kilka wymownych faktów. Na rynku roterdamskim cena margaryny w lepszym gatunku wynosi 58—60 flor. za 100 kilo, tj. około 8 rs. 30 kop. pud. (Produkt ten posiada cztery gatunki; gorszy kosztuje 4 rs. 15 kop.). Masło niższego gatunku 150 flor. za kilo, tj. 20 rs. 75 kop. wyższego gatunku — 26 rs. 50 kop. za pud. Ceny w Petersburgu: margaryna 10—12 rs. pud, masło „syberyjskie“ 10—11 rs. za pud. (Mówimy tu o cenach przeciętnych normalnych). Wobec tak wysokich cen masła w Roterdamie, margaryna na rynku ma względne usprawiedliwienie. Inaczej w Petersburgu i w innych miastach ruskich, gdzie ona częstokroć drożej kosztuje, niż masło. W jednej ze słynnych fabryk tego tłuszczu u Andersena, skonfiskowano przed kilku miesiącami 500 pudów margaryny zmieszanej z masłem i ocenionej przez samego fabrykanta na 1500 rs., tj. po *trzy ruble* pud. Ponieważ cena tego produktu na rynkach wynosi rs. 12, zatem fabryka sprzedaje spekulantom nie taniej, niż po rs. 9, ci zaś w sprzedaży cząstkowej, jako masła, pobierają 3 rs. za swe usługi, czyli — wytwórca ma 300%, a handlarz 100% zysku, jeżeli 3 rs. podane przez fabrykanta przyjmiemy za koszt produkcyi. W rzeczywistości jednak ten koszt jest znacznie mniejszy, a zatem procent zysków jeszcze bardziej wzrasta. Oprócz zgubnego działania na zdrowie, margaryna tamuje rozwój produkcyi masła. Prawda, że zarówno w Królestwie Polskiem jak i wogóle w całem państwie ruskiem wytwórczość nabiałowa nie stoi jeszcze na poziomie racyonalnej gospodarki, pomimo bardzo przyjaznych w wielu prowincyach warunków. (Państwo liczy około ośmiu milionów krów, niezmierzone obszary łąk i pastwisk bogatych). Ujemny wpływ margaryny na produkcyę masła daje się zauważyć również w innych państwach, poważnie ten dział przemysłu traktujących. Francya liczy około 6,500,000 krów, dających rocznie przeszło 600 milionów wiader mleka na sumę 1,162,501,680 franków, podczas gdy winogrona przynoszą 30½ milionów hektolitrów wina na sumę 932,228,273 fr., czyli że nabiał daje państwu o 25% więcej dochodu niżeli wino. Francuskie produkty mleczne miały dobrą sławę na rynkach państw ościennych, z chwilą atoli gdy się rozwielmożniła margaryna, masło francuskie jest przyjmowane z niedowierzaniem, anglicy zaś posunęli do tego stopnia ostrożność, że na wystawach magazynów londyńskich wywieszają napis: „Tu się nie sprzedaje masła normandzkiego.“ To też między r. 1877 a 1884 wywóz tego produktu z Francyi na rynki angielskie spadł z 2,500,000 kilogram. do 500,000; w ostatnich zaś sześciu pomyślniejszych latach wzrósł znowu zaledwie do 930,000 kilogr. Anglia, zrażona fałszerstwem, woli dziś sprowadzać masło z Danii i Szwecyi. Na innych rynkach zagranicznych również się zmniejszył popyt na masło francuskie.

Jeżeli niema sposobu na zniszczenie produkcyi margaryny, należałoby większą kontrolę nad nią rozciągnąć, ograniczyć wyzysk przedsiębiorców, nałożyć kary za fałszerstwo, a co najważniejsza — osłabić jej szkodliwość na organizm ludzki. W tym celu pożądane byłoby zastosowanie następujących środków: Ogrzewanie surowych produktów do 120° Celz., peptonizacya białka i zabarwienie na czerwono korzeniem alkanny, rośliny, uznanej przez departament medyczny za nieszkodliwą. Pierwsze dwa środki zniszczą bakterye w margarynie, tudzież zabezpieczą ciała białkowate od szybkiego rozkładu; zabarwianie zaś może w znacznym stopniu utrudnić fałszowanie masła za pomocą tego produktu. Takie środki zalecał ktoś z poważnych specyalistów ruskich.

(D. n.).

Zenon Pietkiewicz.

LIBERUM VETO.

Odpoczynek społeczeństwa po pracy umysłowej. — Opieranie się prądowi czasu. — Nowina jako główny jego produkt. — Wyrabianie cegiełek w nauce.—Oglądanie przecinków cholerycznych. — Ich odstępstwa od typu i wiara w szablon. — Rozwój tworów małych. — Ogniwa zarażeń jako zdobycz praktyczna badań sanitarnych. — Tajemnice Warszawy i jej eleganckich zakładów. — Proces o szkołę rzemiosł. — Na jedno babka wróżyła.

Człowiek ukształcony, myślący, zajmujący się postępami wiedzy, po kilkogodzinnem czytaniu jakiegoś dzieła naukowego, uczuł znużenie, zamknął książkę i postanowił odpocząć. Łączy się więc z rodziną, przyjmuje lub odwiedza znajomych, czasem zaczepia na drodze przejeżdżającego żydka lub włościanina, czasem znowu wszczyna rozmowę ze sklepikarką — i słucha nowin. Przepuszcza sobie przez uszy cały ten wązki, płytki i mętny strumień, który wiąże się z nieskończoną siecią podobnych, sączących się i płynących na całej przestrzeni życia społecznego. Jeżeli wszakże jest to rzeczywiście człowiek myślący, doznaje również po tym odpoczynku zmęczenia i wraca do książki, do tego świata, w którym nic nie słychać o nowinach codziennych, w którym panuje spokój, roztaczają się szerokie widnokręgi i rozlewa się jasne światło z góry. Podobnemu ruchowi wahadłowemu ulega całe społeczeństwo. Są epoki, w których ono rozmyśla, czyta, przebywa w dziedzinie teoryi, goni wytężonym wzrokiem rozwój nauki, trzyma — że tak powiem — swą duszę wysoko na szczytach ponad nizinami życia powszedniego. Ale bywają inne, w których to społeczeństwo zamyka książki i nadstawia uszy wszelkim nowinom, chwytając niemi daleko skwapliwiej najbzdurniejszą plotkę, niż najgłębszą ideę. W takim okresie my właśnie znajdujemy się, a kto sięgnie pamięcią tylko o 20 lat wstecz, odrazu dostrzeże olbrzymią różnicę. Wtedy zaciekawiały nas i rozgrzewały nowe teorye naukowe, teraz — najświeższe wypadki. Te „najświeższe wypadki“ pochłonęły całą uwagę ogółu. Gdyby dziś wystąpił Arystoteles, gdyby ogłosili swoje wiekopomne odkrycia Kopernik, Galileusz, Newton, ludzie czytaliby ich objaśnienia z mniejszem

zajęciem, niż artykuły o procesie Skublińskiej lub Pawlaka. Niektóre pisma peryodyczne, zapatrzone ciągle w sprawy rozległe i fakty doniosłe, z bohaterską wytrwałością bronią się przeciwko temu upodobaniu i z wytężeniem wszystkich sił płyną pod falę, ażeby ratować filozofię życia i myśl oskrzydloną do wyższych wzlotów. Ten jednak wysiłek rzadko kiedy uwieńcza się tryumfem, a zwykle spotyka zawody. W chwili, kiedy puszczając w świat jakąś gruntowną rozprawkę, kreślącą ważny przełom w stosunkach ekonomicznych lub postęp w badaniu, mniemasz, że twoi czytelnicy będą ci wdzięczni, zdumieni i zachwyceni, oni tłumiąc ziewanie, strofują cię z gorzką wymówką:

— W Wiskitkach pewien chłopiec, dłubiąc w nosie, zaszczepił sobie nieumytym paznokciem karbunkuł — a pan nic nam o tem nie doniosłeś. Pismo pańskie przestaje być żywotnem.

Spuszczasz głowę, zgnębiony nie tyle wyrzutami twoich abonentów, ale grożącą ci koniecznością przejścia ze sfery wielkich zagadnień życia i wiedzy na rynek handlu drobiazgami, z akademii — do giełdy reporterskiej. Żądają od ciebie nie szerokiego ogarniania faktów pierwszorzędnych, ale kroniki, zadawalającej codzienną ciekawość. Przechodzimy przed społeczeństwem jak wędrowcy, których ono zaczepia: niosących filozofię wyprawia w dalszą podróż, każdego natomiast kramarza nowinek zatrzymuje, rozpruwa mu torbę, wysypuje z niej wszystkie „wypadki" i chciwie je zjada — dobrze płacąc. Widuję tych samych ludzi, niedawno jeszcze rozkoszujących się jakąś prawdą naukową świeżo zdobytą, którzy teraz pysznią się niby kosztownym klejnotem „poczerpniętą u źródła wiadomością" o chłopcu w Wiskitkach.

— Ale upewniam szanownych czytelników — mówi szczęśliwy posiadacz reporskiego brylantu — że pismo X. dopuściło się fałszu, gdyż chłopiec dłubał palcem nie prawej ręki w lewej dziurce nosa, lecz palcem ręki lewej w dziurce prawej.

A szanowni czytelnicy rosną ze szczęścia, że są abonentami organu, mającego tak dobre informacye. Gdyby on zaś zdołał wykryć, czy Napoleon istotnie wymalował sobie twarz przed bitwą pod Sedanem, rzekliby z dumą: Już nasza prasa dorównywa europejskiej.

Zresztą filisteryzm wyparł myśl głębszą nietylko z dzienników, duch drobnostkowości zapanował wszędzie. Filozofia, szersze uogólnienia wyśmiane zostały nawet w nauce. Dziś nazywają się one wydymaniem i puszczaniem w górę balonów. Celem i zasługą tegoczesnych badaczów nie jest wznoszenie oryginalnych, wspaniałych gmachów myśli, nie architektura nauki, ale wyrabianie „cegiełek." Takie „cegiełki," zamiast płyt, bywają składane na grobach mężów najznakomitszych. Jeżeli o którym z nich współcześni lub potomni rzekną, że przygotował kilka owych „cegiełek," panteon wszechświatowej sławy otwiera przed nim naoścież swe podwoje. I tu teoryę zastąpiły „ciekawe wypadki" — bladaczki u świnki morskiej, tężca u myszy, histeryi u dziecka przy piersi, zastosowania prawa salickiego u basków w XV w., reduplikacyi samozgłoskowej w trzech wyrazach narzecza zakopańskiego itd. itd. Szczęśliwiec, który zbadał działanie żegawek pokrzywy na skórę charcika angielskiego lub odkrył przemianę dźwięku *k* na *p* w jednem słowie usłyszanem z ust żebraka pod Budziszynem, może na podstawie tej zdobyczy otrzymać w uniwersytecie stopień doktora *filozofii*. Czyż te „cegiełki" nie są również rodzajem reporteryi?

Całą Europę objęła swym uściskiem cholera. Pasteur, a za nim Koch byli badaczami i głosicielami szerokich uogólnień naukowych, po nich już idą żywe mikroskopy, które z największą drobiazgowością oglądają „przecinki." Na *consilium facultatis*, zebranem dla osądzenia tych znaków pisarskich, które tajemnicza choroba stawia w swych groźnych wyrokach, jedni sądzą, że grasujący u nas bacillus jest, w porównaniu z typowym, za zbyt gruby, drudzy — że zbyt zgięty, inni znowu narzekają, że za mało przygotowywa „zupy ryżowej" itd. W tych uwagach, o ile one nie są stwierdzeniem faktu, ale kryją chęć zakwestyonowania istoty zarazy, zdradza się właściwe ludziom zamiłowanie szablonu. Gdyby Hipokrates wykrył był i szczegółowo opisał bakterye choleryczne i gdyby one w obecnych swych postaciach nie zgadzały się z jego „typem," z pewnością znaleźliby się lekarze, którzy widząc padające naokoło setki ofiar zarazy, a nawet umierając z niej sami, protestowaliby jeszcze zsiniałemi usty: to nie cholera nas zabija, bo jej „przecinki" nie mają „typowo" cienkich ogonków. Wolno zwierzętom i ptakom w procesie przemiany wydłużyć lub skrócić sobie ogon, ale bakterya, jak idea Platona, musi pozostać niezmienna. Pestka śliwki węgierskiej, posadzona nad Wisłą, nabiera w wyrosłem z niej drzewie innych własności, zależnych od gruntu i otoczenia. Czemuż bakterya cholery, przeszczepiona z Indyj do Lublina, nie miałaby ulec przekształceniu w odmiennych warunkach rozwoju? Dlatego że mała? Powód wielce zabawny. Prawa natury rządzą nietylko tworami wielkimi, nietylko mamut lub małpa przeobrażają się pod wpływem czynników, oddziaływających na ich życie, ale także zarazek cholery, dyfterytu, tyfusu itd.

Tegoczesny więc „przecinek" ma być bardziej otyły i zgarbiony, niż jego przodkowie i krewniacy. Nie znaczy to wcale, ażeby się zestarzał i stracił na swej mocy. Przeciwnie, obecna cholera jest bardzo złośliwa, gdyż nieraz zabija ofiary w ciągu jednej doby. Podczas ostatnich tygodni rozszerzyła się ona znacznie, gdyż rozpostarła się dalej w guberniach siedleckiej i lubelskiej, zajęła niektóre powiaty kieleckiej i kaliskiej, a nawet pomimo wszystkich ochron przeniknęła do Warszawy. Pierwszy przyniósł ją flisak, płynący na galarze z góry Wisły, następnie zachorowała wyrobnica (na Solcu), a już potem objawy epidemii, według sprawozdania policyjnego, ukazały się u kilkudziesięciu osób. Jakie ona przybierze rozmiary u nas — trudno przewidzieć, zważywszy jednak spóźnioną porę, która jej nie sprzyja, oraz energiczną walkę z wrogiem, przypuszczać można, że nie będziemy mieli wielkiego pomoru. Lekarze otwierają każdego trupa, którego do rąk dostaną, oglądają szczegółowo całe jego wnętrze i nie widzą nic, coby im tłomaczyło istotę zarazy. Bakterye przecinkowe, mętny płyn „ryżowy" z kłaczkami, zaczerwienienia, trochę ciemnej krwi itd. — oto zwykły obraz, który przedstawia spustoszenie organizmu, ale poszukiwanej przyczyny nie odsłania. Nawet znajdowany prawie bez wyjątku na powierzchni organów wewnętrznych lepki, kleisty śluz, ciągnący się w nitki kilkocentymetrowe niczego nie uczy. Cholera więc jak stała od wieków, tak stoi dotąd przed nami z zakrytem obliczem i tylko w jej płaszczu widzimy niedawno dostrzeżone i zagadkowe w swem przeznaczeniu bakterye.

Nie należy jednak zupełnie lekceważyć „cegiełek," chociażby nieułożonych jeszcze w ściany gmachu nauki, lecz leżących bezładnie w stosach. Tegoczesny pochód epidemii nie przyczynił się ani do poznania jej istoty, ani do ratowania jej ofiar, pozwolił wszakże wyśledzić jej tropy. Prawie we wszystkich wypadkach zdołano zczepić ogniwa łańcucha zarażeń, prawie zawsze stwierdzono, że ważną w nich rolę grała zakażona woda, prawie wszędzie wykazano, że brud i niechlujstwo jest najlepszem dla niej podłożem. Jakkolwiek zatem teorya nie posunęła się dalej w swych dociekaniach, praktyka znalazła drogę postępowania w kierunku ochronnym.

Tak zniesławiono rzeczkę przerzynającą Lublin (Czechówkę) jako straszny kanał, ziejący zarazą i śmiercią, że doprawdy należy stanąć w obronie garnka, któremu przyganiają przysłowiowe kotły. Gdy czujne oko władz sanitarnych zajrzało we wnętrze Warszawy, ujrzało w niem widoki okropne, które śnić się mogły tylko... Czechówce. Bo któż z nas, pamiętając o ucztach wyprawianych w pierwszorzędnych hotelach warszawskich, przypuszczał, że pod zbytkiem i wystawnością tych zakładów kryje się zgnilizna. Przepiszmy kilka wierszy z *Gazety policyjnej*: „W hotelu Europejskim w kilkunastu numerach zniszczone i *brudne* na meblach pokrycie należy zmienić, *brudny* korytarz odnowić, wreszcie *wszystkie* samowary *pobielić*. W hotelu angielskim: nie ma w pralni aparatu dezinfekcyjnego, *cały* lokal opuszczony... ściany w korytarzu *zanieczyszczone*, kucharze w *brudnych* fartuchach, pieniek do rąbania mięsa *zanieczyszczony* (przypomnijcie sobie wszystkie tam zjedzone przysmaki!), rądle okazały się również *zanieczyszczone* i prawie wszystkie naczynia kuchenne należy pobielić." Tak wyglądają przybytki elegancyi, smakoszowstwa, Lukullusowych biesiad i wystawnych wesel! A toż kuchenka schludnej wyrobnicy dałaby więcej zadowolenia, jeżeli nie podniebieniom, to żołądkom! Jakże potężna tkwi w nas nienawiść do czystości! Brudy, brudy i wszędzie brudy a place publiczne domagają się pomników dla bohaterów, o których potomni mogliby powiedzieć swym dzieciom: ten się kąpał — ten przyrządzał czyste jedzenie — ta zmieniała często bieliznę — ta myła się codzień itd.

Ale dosyć już tego brodzenia w błocie. Kończę moją kronikę przykrem doniesieniem, że sprawa między p. Kühnem a Natansonem, która powinna była odrazu być wprowadzona przed sąd polubowny, gdyż inny należycie rozstrzygnąć jej nie może i która chwilowo ku tej drodze się zwracała, na żądanie powoda ma być decydowana przez sąd okręgowy. Według mojego poglądu na ten zatarg, jakikolwiek wypadnie w nim wyrok, szkoła rzemiosł istnieć przestanie. Radbym się omylić — i dla tego powstrzymuję się z rozbiorem sporu i jego skutków aż do chwili, w której one wystąpią wyraźnie.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRODUKCYA NARODOWA I POSTĘPY TECHNIKI

Niedawno wspominaliśmy o szkole Brentana wśród ekonomistów niemieckich i o jej rysie charakterystycznym, mianowicie że według niej wzrost centralizacyi przemysłowej i techniki rozwiążą w sposób naturalny wszelkie niedomagania społeczne, które tyle dokuczają pokoleniu współczesnemu, wszystko zaś to odbędzie się na gruncie zapasów konkurencyjnych i własności kapitalistycznej. Dzisiaj zamierzamy zwrócić uwagę na inny kierunek, którego najwybitniejszym wyrazem jest świeże dzieło d-ra Hermanna Loscha *). Kiedy brentańczycy wierzą w zbawienne skutki centralizacyi technicznej, pozostawionej własnym siłom kapitalistów, Losch mniema, że to przy obecnem ukształtowaniu stosunków doprowadziłaby w ostatecznym wyniku do wyrzucenia mas ludności pracującej na bruk, a zatem wymaga jednocześnie od państwa przeprowadzenia odpowiedniej organizacyi w zakresie produkcyi i pracy. Widzimy w nim czystej krwi rod-

*) Hermann Losch: *Nationale Produktion und nationale Berufsgliederung*. Lipsk.

bertusowca, ze wszystkiemi właściwościami teoryi tego badacza krom jej stron dodatnich. Przyjrzyjmy się bliżej wywodom ogólnym Loscha. Wychodzi on z faktu, że nad przyszłością Europy, zwłaszcza środkowej, unosi się widmo strasznego krysysu z powodu zamknięcia istniejących rynków. Naprzód Ameryka północna, ze swoim olbrzymim a szybko idącym rozwojem sił wytwórczych zabiera Europie jeden rynek po drugim, a dzisiaj zwróciła oczy już nie tylko na południową swoją sąsiadkę, ale i na Chiny; powtóre kolonie i rynki pozaeuropejskie zwolna wyzwalają się z pod napływu towarów europejskich i dzięki właśnie stąd przychodzącym kapitałom zaczynają próbować własnych sił na drodze industryalizmu nowoczesnego. Prędzej czy później, zdaniem Loscha, przemysł środkowo-europejski znajdzie się nad przepaścią — nie będzie miał kundmanów na swoje wytwory. Z drugiej strony, wraz z tym rozwojem przemysłu, obliczonego na rynki zagraniczne, następuje starganie dotychczasowej niezależności narodowej. Tu autor potrąca o trapiącą niemieckie sfery militarne niesamodzielność zbożową. Niemcy nie pokrywają własnem zbożem krajowych potrzeb spożywczych aż do wysokości jednej szóstej i w tym względzie są na łasce dowozu zagranicznego. Okoliczność ta, zgoła obojętna w pokojowym biegu życia społecznego, staje się zatrważającą na wypadek wojny, kiedy Anglia może przeciąć wszelki dowóz. Otóż w oczekiwaniu wszystkich tych niebezpieczeństw, rzeczywistych i domniemalnych, a niweczących niezależność ekonomiczną niemiecką i zagrażających przesileniem, z którego wypłynąć może gwałtowny przełom w kierunku żywiołów krańcowych, otóż wobec tego wszystkiego Losch marzy o zupełnem odosobnieniu gospodarczem Niemiec, kiedy kraj ten sam sobie wystarczy i zadość uczyni wszystkim swoim potrzebom spożywczym, a swoją wyższość ekonomiczną oprze nie na wielkich cyfrach wywozu, ale na ładzie wewnętrznym. To też wszyscy ludzie, którzy kiedyś w tym względzie podnieśli głos, doznają ze strony Loscha czci szczególnej. Fichte ze swoim obrazem odosobnionego państwa handlowego, List ze swoimi wywodami „nauki gospodarstwa narodowego,“ Bismark ze swoją etyką pięści niemieckiej nad światem i sprusaczenia militarno-biurokratycznego Rzeszy niemieckiej, wreszcie Rodbertus, z hasłem narodowo-społecznej monarchii — oto są według Loscha wielcy przewodnicy, pokazujący drogę, po której „duch niemiecki“ kroczył i zdobywał własną samowiedzę. Rodbertus w tem gronie jest umysłem najtrzeźwiej i najszerzej patrzącym, niby prorokiem wielkiej przyszłości, opartej na celowem urządzeniu i prowadzeniu produkcyi niemieckiej i pracującej nad wielkiem dziełem idei hohenzollernskiej. Wraz z nim Losch uznaje, że centralizacya przemysłowa, umożliwiająca urzeczywistnienie wszelkich zdobyczy techniki, winna być wzięta za podstawę reformy społecznej; przyjmuje on też zdanie, że jeżeli ta centralizacya odbywać się będzie śród wzajemnego współzawodnictwa, ostatecznym jej owocem będzie jedynie wzmożenie nieładu społecznego i rozdwojenia klasowego, wreszcie niemoc polityczna. Żąda przeto, ażeby państwo pospieszyło z uorganizowaniem odpowiednich sił wytwórczych. Pierwiastki tej organizacyi spostrzega on z jednej strony w różnych związkach zawodowych (pracodawców lub najemników), z drugiej zaś w państwowych monopolach, kolejowym, tytuniowym itd. Chodzi tylko o systematyczne podjęcie usiłowań w kierunku upaństwowienia jednych zawodów, o przynaglenie innych do prywatnego organizowania się przedsiębiorców w *trusty* i *kartele* z odpowiedniem regulowaniem cen przedmiotów i poziomu zarobków, naturalnie w tem rozumieniu, że państwo, które weźmie się do tego, będzie pruskiem, hohenzollernskiem, stojącem ponad walką klas i nie „krzywdzącem“ ani przedstawicieli pracy, ani też kapitału. „Jeżeli dzisiaj — rzuca w jednem miejscu autor uwagę — interes sprzedawców powołuje do życia kartele, to czyż jest rzeczą możliwą urzeczywistnić je w rozmaitych dziedzinach produkcyi narodowej stosownie do potrzeb ze strony ogólno-narodowego spożycia oraz postawić te *trusty* we wzajemnej łączności, tak, iż osobny parlament produkcyjny zdołałby wziąć w swoje ręce i celowo poprowadzić produkcyę narodową towarów?“ Jest to coś w rodzaju marzenia amerykanina Bellamego, z tą tylko różnicą, że zorganizowaną armią przemysłową dowodzić będą przedsiębiorcy, a państwo jedynie nakładać cugle na ich zbyt potężny apetyt zysków. Że podobne urządzenie produkcyi jest możliwe, Losch powołuje się na dowód następujący. Zcśrodkowanie sił militarnych jest wielkie, bo obejmuje od dwóch do trzech milionów osób, a jednak w razie potrzeby w ciągu 2—3 dni państwo niemieckie może rzucić całą tę olbrzymią masę stosownie do swojej woli z jednego miejsca na inne. Przedstawiając zaś swój ideał, projektodawca uskarża się na dzisiejszą ekonomię niemiecką akademików, która grzęźnie w roztrząsaniu spraw pojedynczych, w drobiazgowych opisach historycznych, w monografiach społeczno-politycznych i społeczno-statystycznych, podczas gdy Losch chciałby im dać inny cel — wyszukiwanie dróg, po których Niemcy doszłyby do potężnej przyszłości społecznej. Otóż praca jego ma to uczynić i dostarczyć wskazówek panom akademikom, czego kraj od nich żąda.

Takie jest ogólne stanowisko autora. Gdyby tylko o niego samego chodziło, nie zatrzymywalibyśmy się nad nim tak długo. Atoli z jednej strony podobnych życzeń, a jak ktoś się wyraził, śmiecia, jest pełno w Niemczech, gdyż *Zukunfts-Musik* na dudach *à la* Rodbertus jest dzisiaj rzeczą popłacającą, więc warto przyjrzeć się temu kierunkowi; powtóre, chociaż książka Loscha nie odznacza się żadną oryginalnością myśli, czytamy ją z zajęciem, nawet bardzo znacznem. Mianowicie autor, kreśląc podstawy, na których winien się wznieść gmach rodbertusowskiej monarchii społecznej, oblicza, ile każdy zawód, wytwarzając tę samą ilość produktu, co dzisiaj, będzie pochłaniał mniej czasu roboczego, jeżeli jego technika oprze się na najlepszych w dzisiejszej chwili wzorach. Wywody te, zajmujące $^{2}/_{3}$ książki, są skrupulatnem z przysłowiową cierpliwością niemiecką zbadaniem wszystkich fachów kolejno, obliczeniem, ile wytwarza się i przy jakim wysiłku ludzkim (statystyka urzędowa niemiecka umożliwia w zupełności takie rachunki), a wreszcie ile ich będzie trzeba po wprowadzeniu reform technicznych. Ponieważ jednak Losch brał pod uwagę głównie tylko stosunki techniczne niemieckie, które, bądź co bądź, znacznie niżej stoją, niż amerykańskie, przeto wyliczenia jego bynajmniej nie dają jeszcze tego obrazu, jaki otrzymalibyśmy, gdyby wziął on jedynie najdalej idące wzory teraźniejszości. Nadto pamiętajmy, że nawet najdalej posunięta wytwórczość chwili obecnej nie może dać pojęcia o tej oszczędności w pracy ludzkiej, jaką wywołałaby centralizacya techniczna, zbudowana na przestrzeni kraju całego i nie na podstawie kierownictwa kapitalistycznego. Obraz zatem, podany przez Loscha, jest obrachunkiem minimalnym. Pamiętając o tem, poznajmy jego cyfry. Obecna liczba osób, pracujących w Niemczech produkcyjnie (nietylko robotnicy, ale kapitaliści-przedsiębiorcy z całym orszakiem dozorców) wynosi około 11 milionów. Przy wprowadzeniu lepszej techniki, takiej, jaka istnieje już obecnie tu i owdzie w Niemczech, z pozostawieniem, a nawet możliwem powiększeniem rozmiarów produkcyi krajowej, trzeba byłoby, zamiast cyfry powyższej, innej, mniejszej niemal o $2\frac{1}{2}$ mil. osób. Innemi słowy, jeżeli przypuścimy, że każda osoba pracuje dzisiaj dziennie godzin 12, tedy istnieje w technicznych wzorach teraźniejszości niemieckiej zupełna możliwość, ażeby pracowała ona jedynie 9,3 godzin, a wytworzyła jednak w sumie tę samą ilość dóbr materyalnych, co obecnie ten sam zarobek dla siebie, tę samą rentę ziemską i dochód od kapitałów, ten sam budżet wojskowy i biurokratyczny — jeżeli nie więcej. Znając tę ogólną cyfrę, możemy przejść do rubryk szczegółowych. Zacznijmy od rolnictwa. Może nie ma ani jednego zakresu pracy ludzkiej, gdzie technika, nawet w krajach najbardziej rozwiniętych, stałaby na tak rozmaitym poziomie. Obok gospodarstw drobnych, w całej pełni używających jeszcze metod przestarzałych, widzimy środki bardzo rozwinięte. Nigdzie ten stosunek pracy ludzkiej do otrzymanego produktu nie jest tak zależny od mnóstwa przyczyn i czynników, które trudno podają się ścisłejszemu rachunkowi. Z tego powodu wszelkie próby obliczenia możliwych oszczędności w rolnym wysiłku ludzkim muszą szwankować i wahać się w szerokich granicach prawdopodobieństwa. Losch jednak przyjmuje, że, po zaprowadzeniu istniejących w Ameryce północnej przeciętnych norm uprawy gruntów i hodowli bydła, liczba osób, zajętych w rolnictwie, mogłaby być znacznie zmniejszona — o piątą część, a jednocześnie wytwór ogólny nietylko nie spadłby w swoim rozmiarze, ale przeciwnie podniósłby się jeszcze. Z górą $1\frac{1}{2}$ miliona osób pracuje teraz na roli tylko dzięki temu, że wciąż są w użyciu stare narzędzia i metody, potępione stanowczo przez technikę, po usunięciu których cała ta masa osób mogłaby zwrócić swe siły gdzieindziej. Jeszcze większą oszczędność przyniosłoby zastosowanie centralizacyi w handlu, przyczem autor zgoła nie bierze pod tym względem wzorów krańcowych i uwzględnia obecne rozproszenie ludności po obszarze kraju. Zdaniem jego, dzisiejsze ukształtowanie tej gałęzi zarobku pozostawia bardzo wiele do życzenia, jest to istotna siedziba, jak on się wyraża, pasorzytnictwa społecznego. Na przykładzie Niemiec wykazuje, do jakiego stopnia rozmiary pośrednictwa handlowego mogłyby uledz zmniejszeniu bez najdrobniejszej dla ogółu spożywczego szkody. Handel zajmuje dzisiaj około 600 tysięcy osób, a przy najsłabszej centralizacyi liczba ta spadłaby blizko o połowę. Zresztą jest to dzisiaj dziedzina, ulegająca przewrotowi technicznemu — zcśrodkowywaniu. Obok handlu, w epoce przełomowej znajdują się też rzemiosła, zajęte wyrobem obuwia, odzieży itd. Tu również tradycyjnej technice grunt szybko usuwa się z pod nóg, a w Ameryce północnej niemal że już go straciła. Zawód szewcki, który jeszcze obecnie daje w Niemczech zatrudnienie 340 tysiącom osób, przy zastosowaniu lepszych wzorów, chociaż nie krańcowych, zdołałby się obyć tylko jedną setką tysięcy; podobne reformy w krawiectwie zmniejszyłyby zastęp pracujący o piątą część. To samo dotyczy piekarstwa. Najmniejszej oszczędności doznałby wysiłek ludzki w zakresie tych przedmiotów, które dzisiaj są siedliskiem uprzywilejowanem wielkiej produkcyi. Tu przedewszystkiem należy gornictwo i różne zakłady mechaniczne, na których zaledwie dałoby się oszczędzić około 10%. Natomiast tkactwo niemieckie, które w znacznym stopniu jest uprawiane jeszcze w górach za pomocą tradycyjnych sposobów, dałoby dla wysiłku ludzkiego oszczędności 20%.

Takie są rezultaty wyliczeń Loscha, opartych na bardzo wiarogodnym materyale. Wprowadzenie do Niemiec tylko tego, co jest już rzeczywistością w Stanach Zjednoczonych, pozwoliłoby co najmniej o $1\frac{1}{2}$ godziny skrócić dzień roboczy ludności pra-

cującej, bez żadnego uszczerbku dla produkcyi. Słowem, w technice spoczywa lepsze jutro społeczne, byleby tylko używające jej siły ludzkie zostały należycie i celowo zorganizowane — tak brzmi ostateczny wniosek autora.

Ż.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Spółka rybacka. Po urządzeniu gospodarstwa i podwojeniu produkcyi drogą zachęcania do udziału wielu właścicieli ziemskich, obecnie pracuje nad uregulowaniem handlu rybnego. Zarząd z upoważnienia ogółu wspólników stworzył stowarzyszenie handlarzów, które wziąwszy komisową sprzedaż ryb prawie wszystkich znanych hodowców, ma dziś do rozporządzenia około 500,000 p. towaru. Przy pomocy magistratu Warszawy zarząd wynajął od miasta wodozbiory po dawnych wodociągach pozostałe i po raz pierwszy w d. 30 września wystąpił na targu warszawskim ze sprzedażą ryb żywych po 20 kop., to jest o 5—10 kop. na funcie taniej, niż sprzedają przekupnie. Nowy współzawodnik sprawił na spekulantach przygnębiające wrażenie, gdyż spożywcy gromadnie się garnęli do taniego i dobrego towaru. Pierwszy dzień próby był bardzo pomyślny, spółka bowiem sprzedała 4,000 funtów ryb. Nadal będzie ona sprowadzać cały swój zapas do urządzonych zbiorników przy ulicy Dobrej i tam trzymać zamierza stale dla hurtownej i cząstkowej sprzedaży. Dzięki temu, stowarzyszeni hopowcy, którzy sprzedawali dotąd ryby pośrednikom po 12—13 kop., będą mogli otrzymywać nadal przynajmniej po 15 kop. czystego zysku. Rozwój i działanie spółki nie powinny być obojętne dla szerokiego ogółu spożywców warszawskich, którzy zyskują towar dobry i tani. Stowarzyszeni zaś hodowcy, jeżeli prawdziwie rozumieją własny interes, nigdy się nie pokuszą na wyszrubowywanie cen bez uzasadnienia, w celach wyłącznie spekulacyjnych. Stały rozwój, a co za tem idzie — tania produkcya i unikanie pośredników — pozwoli im utrzymać ceny na poziomie przystępnym dla spożywców.

Stałe biuro doradcze fabrykantów żelaza. Przed kilku dniami departament górniczy rozesłał do wszystkich wytwórców żelaza i surowca cyrkularz, zapraszający do udziału w petersburskiej radzie nieustającej pod powyższą nazwą. Na zasadzie Najwyżej zatwierdzonego statutu, fabrykanci z Królestwa Polskiego mają prawo wybrać jednego deputata z liczby siedmiu, którzy tworzą komplet biura (1 z okręgu południowego, 1 z północnego, 1 moskiewskiego, 2 uralskiego i 1 — siódmy, wybrany przez sześciu poprzednich). Fabrykant, przyjmujący udział w wyborach, obowiązany jest należeć do utrzymania biura. Wydatek ten prawdopodobnie nie wyniesie więcej nad 50 rs. na każdego fabrykanta. Wątpić nie można, że wytwórcy z Królestwa Polskiego we własnym interesie wybiorą przedstawiciela, który może mieć głos doradczy w układaniu taryf przewozowych, cła, regulowaniu stosunków z robotnikami, w sprawach ułatwienia komunikacyi itd.

Handel leśny. Pełnomocnik niemieckiego Towarzystwa akcyjnego pod firmą „Berliński kantor leśny," zwrócił się do ministeryum skarbu z prośbą o przedłużenie koncesyi, wydanej stowarzyszeniu na działalność handlową w obrębie państwa, zgodnie z ustawą, która dotąd dawała następujące prawa: prowadzenie przedsiębiorstw leśnych, nabywanie lasów i majątków dla handlu drzewem, z prawem zakładania tartaków, składów itd. Po porozumieniu się z generał-gubernatorami: warszawskim, wileńskim, kowieńskim i grodzieńskim, b. kijowskim, podolskim i wołyńskim, tudzież gubernatorem mińskim, okazało się, że Towarzystwo nie może nadal w tych samych granicach działać z powodów następujących. Nabywa ono lasy w tych miejscowościach, gdzie posiadanie własności ziemskiej jest surowo wzbronione cudzoziemcom; wycina je doszczętnie; trzymając się ustawy, z czasem może zwrócić swoją działalność do wyzyskiwania innych bogactw naturalnych; wreszcie wbrew interesom ludności miejscowej, stara się ono posługiwać poddanymi zagranicznymi. Wobec takich prawie jednobrzmiących odpowiedzi generał-gubernatorów, zgodzono się wprawdzie na przedłużenie koncesyi Towarzystwa, lecz operacye jego ograniczono. Może ono działać tylko w tych miejscowościach, gdzie prawo o ochronie lasów wprowadzone jest w całej rozciągłości, przyczem powinno się ściśle stosować do wymagań komitetów ochrony lasów. Jednocześnie zalecono Towarzystwu, aby natychmiast obsadziło wszystkie posady krajowcami poddanymi ruskimi.

Przemysł fabryczny. Towarzystwo, złożone z kapitalistów moskiewskich i angielskich, wkrótce wybuduje w Łodzi bielnię na wielką skalę. Na ten cel przeznaczają oni milion rubli.

— Fabryka firmy K. A. Meyerhoffa w Zgierzu, która już od kwietnia ograniczyła zakres działalności, obecnie rozpuściwszy za dwutygodniowem wypowiedzeniem resztę robotników (80-ciu), zupełnie stanęła. W czasie normalnym zatrudniała ona 360 robotników.

— Grochów Wielki przekształca się na osadę fabryczną. Oprócz istniejącej farbiarni parowej i fabryki zapałek, tudzież w Kamionku fabryki pasów gumowych, w Grochowie zaś Małym mydlarni parowej i fabryki świec, powstała tam topielnia łoju i druga mydlarnia.

— W Łodzi powstała nowa fabryka różnych wyrobów z marmuru sztucznego i bazaltu.

— W dobrach ordynacyi Tepliki i Sitkowice dwie cukrownie, dotąd będące własnością towarzystw akcyjnych, obecnie obejmuje dla prowadzenia na własną rękę sam ordynat hr. Potocki.

— Kampania cukrownicza już się rozpoczęła. W Królestwie Polskiem około 30 cukrowni w ruch puszczono. Fabryki nadgraniczne zaopatrują się w buraki z Prus, które w r. b. są tam nadzwyczaj tanie.

— Komisya specyalna przy ministeryum skarbu skończyła obliczenie dodatkowego podatku rozkładowego od przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych na lata 1893, 94, 95. Ogólny wpływ wyniesie 4,000,000 rs. od przedsiębiorstw gildyjnych i 1,330,000 od niegildyjnych.

Rolnictwo. Stacyę oceny nasion w Sobieszynie otwarto 1 października. Urządził ją i objął kierownictwo dr. A. Sempołowski, założyciel pierwszej takiej stacyi w kraju przy warszawskiem Muzeum przemysłu i rolnictwa. Wszelkie listy i próby należy wysyłać pod adresem: Sobieszyn pod Iwangrodem, gub. siedlecka.

— Ministeryum dóbr państwa wyznaczyło w r. b. dwie nagrody po 500 półimperyałów wraz ze złotymi medalami za największe postępy w gospodarstwach leśnych tudzież 5 nagród w samych medalach złotych dla gubernii środkowych, południowo-zachodnich i południowych.

— Kolej Nadwiślańska otwiera agenturę zbożową w Gdańsku.

Z rynku.

Jarmarki. Po łowickim również nie miał w r. b. powodzenia łęczycki („mateuszowski"). Do ogólnych przyczyn, ujemnie oddziaływających przyłączyły się święta żydowskie i epidemia. Dostawy atoli stosunkowo były dość znaczne. Znajdowało się sporo koni z przednich stajni od hodowców pierwszorzędnych, ogiery po 400—600 rs. i 800—2,800 rs., powozowe 450—550 rs. Konie zbytkowe jednak nie miały popytu, kupowano prawie wyłącznie robocze. Bydło rogate w zaniedbaniu. Tryki z dóbr Guzów i Bożawola po 25 do 30 rs., zwyczajne owce po rs. 3 k. 30, jagnięta po 2. Trzoda chlewna średnio. Jarmark tak mało był ożywiony, że już nazajutrz większość przybyłych rozjechała się. Z powodu epidemii jarmarki jesienne w Krakowie (św. michalski) i w Bielsku zostały odwołane.

W gub. kijowskiej z braku wody przy długotrwałej suszy wiele młynów zaprzestało czynności. Wpłynęło to ogromnie na podrożenie mlewa. Pud żyta lub pszenicy w ziarnie kosztuje kop. 70—75, mąka zaś żytnia 1 rs. — 1,10 k. pszenna 1,50—2 rs.

Targi warszawskie. *Na placu Witkowskiego* w dn. 5 b. m. z powodu rozpoczynających się świąt żydowskich dał się zauważyć brak ożywienia. Pszenicę wyborową sprzedawano po 6,45 kop., średnia i pospolita nie miały powodzenia. Żyta tylko wyborowe gatunki pokup miały po 4,70—4,95 korzec. Owies nabywano po 2,85—3,35, stosownie do gatunku. *W magazynach tranzytowych* na Pradze dn. 4 b. m. znajdowało się produktów zbożowych 225 wagonów. Żyto 76—88 kop. (za pud), jęczmień 80—92, owies 78—93, kasza jaglana 100—115, gryka 80—90 k.

Produkty browarne. Dowóz jęczmienia z powodu robót polnych jeszcze się nie zwiększył, wystarczają jednak obecne zapasy na pierwsze potrzeby rozpoczynającej się kampanii słodowniczej. Za korzec jęczmienia czterorzędowego płacono rs. 3 kop. 90 do 4,20, dwurzędowego 4,20—4,85. Słód stary zeszłoroczny bardzo jest poszukiwany: za pud płacą rs. 1 kop. 95 do 2,10. Słodziny z powodu braku paszy chętnych znajdują nabywców. Na jarmark chmielowy, jak się okazało ostatecznie, pomimo nieurodzaju, dowieziono o 6000 pudów więcej. Miejscowi chmielarze, chcąc przed zamarzaniem rzek skorzystać jeszcze z wodnej komunikacyi, przedewszystkiem uzkuteczniają wysyłki towaru tutejszego chętniej poszukiwanego, na krańce Cesarstwa i do Syberyi. Za lepsze gatunki polskiego preparowanego chmielu płacono rs. 22 do 30 za pud. Takie same ceny osiągał najcelniejszy chmiel wołyński.

Okowita. Warsz. Tow. oczysz. i sprzedaży spirytusu na miejscu za wiadro 100° 10 rs. 75 k. Ceny wogóle w Warszawie z dn. 5 b. m.: hurtowa w. 100° brutto z potr. 2%—11,02, netto bez potr. 10,80,$_{51}$; wiadro 78° 8,60 8,43. Szynkowa: 100° 11,17—10,95; 75-procentowa: 8,71—8,54.

CHOLERA W WARSZAWIE.

Według sprawozdania urzędowego, początek i przebieg epidemii w Warszawie tak się przedstawia od d. 21 września do 4 października.

Pierwszy zachorował flisak Jan Łysiak, który zmarł 25 września. Następnie (26) wyrobnica Karolina Gadomska (zm. 28), mieszkająca przy ulicy Solec 53; tegoż dnia Ratke, robotnik na Wiśle, mieszkający przy ulicy Chmielnej 108. D. 29 Biały, robotnik na Wiśle, mieszkający przy ulicy Boleść 9. D. 30 Myszkowski, robotnik na Wiśle (Pawia 8). D. 1 b. m. zachorowali: służąca Marya Franka (Złota 55) — zmarła 3 b. m.; Józefa Wolna, żebraczka (Rybaki 8); Stanisława Michalska (Rybaki 8)—zmarła 4 b. m.; Marya Wiśniewska (Rybaki 8). Dnia 2 b. m zachorowali: Jan Karwowski (Zakątna 1), Frajda Miemacher (Rybaki 2), Stanisław Lis (Rybaki 8), Ryfka Mangeimer i Moszek Grondman (Radzymińska 3). D. 3. b. m.: Moszek Silberman (Radzymińska 3), Zysla Lancman (zachorowała znajdując się w domu na Pawiej 16, mieszkała zaś na Solcu 53), Felicya Kowalska (Grzybowska 78). D. 4 b. m.: Zysman Silberman (Radzymińska 3), Feliks Lis (Rybaki 8), Kazimierz Łodziński (Zakątna 1), Edward Rogulski (Rybaki 12). Ogółem zachorowało do 4 października 21 osób, umarło 7 — wszyscy w szpitalach.

Przeglądając ten spis, łatwo dostrzegamy, że: 1) cholera rozpoczęła się i szerzy głównie przy ulicach nadrzecznych, oraz 2) że znalazłszy w jakimś punkcie (Rybaki) odpowiedni grunt, rozpościera się na nim szybko.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Zatwierdzono kasę pożyczkowo-wkładową urzędników instytucyi powiatowych i miejskich w Maryampolu (gub. suwalska).

— Rozkazano obowiązkowo dostarczać trzy razy dziennie gorącej strawy dla robotników pracujących przy kanalizacyi w Warszawie. Według przybliżonego obliczenia, koszt spowodowany tem rozporządzeniem, wyniesie około 160 rs. dziennie.

— Nad szynkami i bawaryami w pobliżu cmentarzów warszawskich: powązkowskiego i bródzieńskiego, rozciągnięto ścisły dozór w celu niedopuszczania osób podejrzanej moralności, głównie pokątnych doradców, zachęcających ludność ciemną do pieniactwa, szczególnie przy działach familijnych.

— Przy biurze kontroli służących w Warszawie powstanie stały fundusz na wsparcia i nagrody dla służby męzkiej i żeńskiej, która uczciwością zjednała uznanie pracodawców. Fundusz ten ma być zebrany: 1) z kar wymierzonych administracyjnie za niewykupienie książeczek służbowych; 2) z zapisów dobroczynnych i 3) ofiar dobrowolnych, czynionych przez osoby wynajmujące sługi, bezpłatnie rekomendowane.

— Z Odesy donoszą, iż w r. b. otwarta będzie nowa kolonia dla obłąkanych w Słobodce-Romanówce przy niedawno zbudowanym tam szpitalu. Chorzy zajmować się będą robotami w polu tudzież przy warsztatach.

Szkoły. Ministeryum oświaty rozesłało rozporządzenie w sprawie rozkładu godzin szkolnych. Polecono przyjąć za zasadę, że nie może być w jednym dniu dwu godzin tego samego przedmiotu. W klasach niższych i średnich nie można zamieszczać w planie na jeden dzień dwóch przedmiotów, wymagających szczególnego natężenia umysłu. Raz na tydzień w każdy czwartek lekcye powinny się kończyć o 12-ej w południe.

— Ministeryum dóbr państwa zezwoliło na otwarcie nowych szkół rolniczych: w pow. kozieleckim gub. czernichowskiej, w pow. sumskim gub. charkowskiej, tudzież dwóch szkół pierwszej kategoryi w gub. smoleńskiej.

— Szkoły ruskiego Towarzystwa technicznego dla dzieci robotników są w r. b. tak przepełnione, że zarząd postanowił otworzyć jeszcze kilka zakładów.

— Do szkoły technicznej przy kolei Wiedeńskiej z ogólnej liczby kandydatów przyjęto w r. b. 53 uczniów; ogółem uczęszcza do zakładu 292. Lekcyi udziela 13 nauczycieli," oprócz 4 majstrów, prowadzących wykłady praktyczne w warsztatach.

Sprawy kolejowe. Ministeryum komunikacyi ponowiło rozporządzenie do wszystkich kolei, ażeby młodzież szkolna tudzież towarzyszące jej osoby umieszczane były w pociągach o ile można oddzielnie od reszty podróżnych, a nadto, żeby w porze zwiększonego ruchu dołączane były dla młodzieży tej oddzielne wagony.

— Zarząd kolei Terespolskiej wydał zawiadomienie, iż urzędnicy tej drogi, zgodnie z wydanem w sierpniu rozporządzeniem zarządu kolei skarbowych, nie mogą przyjmować żadnych posad w towarzystwach prywatnych, oraz że zwolnienia od służby nikt z urzędników nie będzie mógł otrzymać przed właściwem postanowieniem zarządzającego ministeryum komunikacyi lub prezesa zarządu dróg żelaznych.

— W służbie kolei Terespolskiej od 13 września wprowadzono liczne zmiany w podziale linii tudzież w składzie osobowym. Linia rozpada się obecnie na cztery oddziały: pierwszy od stacyi Praga do wiorsty 83-ej, drugi od 83-ej do 200-ej, trzeci od 200-ej, czyli Brześcia, do Chełma, czwarty od Siedlec do Małkini. Naczelnikiem oddziału I w miejsce inż. Michała Mireckiego mianowano inż. Azonczewskiego, naczelnikiem oddz. II na miejscu inż. Niewiadomskiego zostaje inż. Żechowski, naczelnikiem III po Żechowskim zostaje inż. Wędrowski, wreszcie IV oddział po inż. Tilu obejmuje inż. Petrow.

— W pierwszej połowie października odbędą się w Monachium zwykłe doroczne zjazdy związków kolejowych: niemiecko-ruskiego i francusko-belgijsko-ruskiego.

Zdrowie publiczne. W osadzie Ostrów gub. siedleckiej cholera panuje od 7 września.

— W pow. miechowskim gub. kieleckiej wybuchła cholera.

— W Łecznie dr. Unanow zapadł na cholerę.

— Zarząd kolei Nadwiślańskiej wydał rozporządzenie, aby konduktorzy, obsługujący pociągi osobowe idące z Kowla, meldowali na stacyi Chełm zawiadowcy i lekarzowi stacyjnemu o podróżnych, którzy wsiedli w Maciejowie, Lubomlu i Dorohusku.

— W Hamburgu cholera i wogóle choroby żołądkowe przez czas panowania epidemii zabrały 10,000 ofiar.

— Do 20 września zmarło w Paryżu i na przedmieściach wogóle 1462 osoby, dotknięte cholerą. W Hawrze zachorowało w tym samym czasie 1321, zmarło 473.

— W Petersburgu epidemia słabnie.

— W Odesie od 23 do 29 września wogóle zachorowało na cholerę 10 osób, zmarło 4.

— W Budapeszcie wybuchła i szerzy się cholera. Podobno przywieziono tam zarazę ze skórami z Hamburga, które wykryto za późno, podczas gdy zwracano baczną uwagę na niemogące udzielać epidemii listy i gazety.

Zmarli. Józef Ernest Renan, w Paryżu. Urodził się 27 lutego 1823 r. w Treguier. Wychowanie średnie otrzymał pod kierunkiem duchowieństwa w seminaryum. Następnie pracował pilnie nad językami wschodnimi. Pierwsze jego prace w tym zakresie zwróciły odrazu uwagę uczonych. Podczas wyższych studyów teologicznych zdradzał niezgodność przekonań z pojęciami duchowieństwa francuskiego; różnice jeszcze bardziej się zarysowały, gdy zrzekł się zawodu duchownego. Po upadku drugiego cesarstwa otrzymał katedrę w Collège de France.

— Hektor Cremieux, pisarz dramatyczny, w Paryżu odebrał sobie życie.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani W. Kr. w Sk. Jeśli Pani po przeczytaniu wszystkich broszur i artykułów w przedmiocie cholery nie wie, jaki lek naprzód podać, gdyby ktoś z domowników na nią zapadł, to nie znajduje się pani w gorszem i trudniejszem położeniu od samych lekarzów. Dr. Biernacki w swem sprawozdaniu z przebiegu epidemii lubelskiej powiada (*Gazeta lekarska*): „Nie łudzą się koledzy lubelscy co do wartości różnych metod leczniczych, pod tym względem panuje jednomyślność zupełna. Ostatecznie jedno i drugie coś pomaga, ale czy to wyleczyło z cholery, żaden powiedzieć nie może." Charakterystyczną jest uwaga tegoż sprawozdawcy, że „metody Chałubińskiego nie stosują wcale koledzy lubelscy," gdyż „wielu z nich nie ma wprost do tego *przekonania* (!), inni napotkali opór (!) ze strony chorych." I my oprócz wysokiej powagi Chałubińskiego nie mamy żadnego dowodu, że zalecone przez niego środki są najskuteczniejsze; nie możemy wszakże pojąć, jak lekarz może: 1) „nie mieć przekonania" do tego, czego nie wyprobował, 2) kierować się gustem chorych i 3) wobec zawodności a często szkodliwości wszystkich innych środków lekceważyć te, które znakomity i doświadczony w zwalczaniu cholery terapeuta szczególnie poleca. Jest to już poprostu bezmyślny upór. Nie radzimy Pani wszakże bez lekarza iść nawet za radą Chałubińskiego, gdyż wymaga ona umiejętności stosowania. Pewne są tylko: hygiena i czystość a jeżeli ona nie pomaga, trzeba się poddać ślepej woli losu.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Ценэурою, Варшава 25 Сентября 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. **A. Świętochowski.**